Z powodu braku znaczków pocztowych należytość uiszczona gotówką.
Rok II. Nr. 8. Kraków, 15. kwietnia 1920 r. Cena egz. mr. 3·50. (K 5).

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie mrk. 20·—, półrocznie mrk. 38·—, rocznie mrk. 75·—.

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16.
Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro „Reklama", Kraków, Rynek, ul. Kopernika 6, tel. 3271.

Brzydka, brzydsza, najbrzydsza!...

(Niezwykły konkurs amerykański).



Ameryka jest krajem niemożliwości!... Więc gdy Paryż urządza konkursy piękności dla najładniejszych kobiet Francyi, których portrety zamieszczają dzienniki, a kinematografy wyświetlają je na ekranie, jakiś zwaryowany, a może tylko złośliwy redaktor w Ameryce wpadł na pomysł urządzenia konkursu dla najbrzydszej obywatelki Stanów Zjednoczonych.

Warunkiem konkursu było, by kandydatka zaprezentowała się w eleganckiej i modnej toalecie.

Kandydatek zgłosiło się sporo; niektóre z nich, a także zwycięzką miss Leyton widzicie Czytelnicy na powyższej rycinie, na której ponadto uwidoczniona jest scena, gdy miss Leyton produkuje swe „wdzięki" sądowi konkursowemu.

Do P. T. Prenumeratorów.

Każdy nowy prenumerator „Życia i Powieści“, który uiści opłatę roczną za rok bieżący **w kwocie 107 koron, otrzyma bezpłatnie** wszystkie numery z roku ubiegłego oraz piękną premię książkową do wyboru:

Gaston Leroux: „Człowiek, który powrócił z tamtego świata“.

Piotr Benoit: „Tajemnice Sahary“.

Jerzy Malewicz: „Dziewczę z buzią jak malina“.

—o—

NAGRODĘ LOTERYI „Życia i Powieści“ wspaniały obraz Tad. Grotta wygrał p. Józef Ryszer w Kropielnikach (Poznańskie).

Czy zwyciężymy na Górnym Śląsku

Powrót zniemczonych Polaków do narodowości i języka ojczystego. — Stowarzyszenia zwolenników przyłączenia do Polski.

Kraków, w kwietniu.

Kto pobieżnie tylko przyjrzy się miastom powiatowym Górnego Śląska, począwszy od Kluczborga, a skończywszy na Raciborzu, ten z wielkim lękiem pomyśli o wyniku plebiscytu. Noszą one bowiem szatę zupełnie niemiecką. Jedynie w dni targowe lub po części także świąteczne zmieniają całkiem swój wygląd. Wówczas słychać na ulicach tylko język polski, aczkolwiek nieco niedbały, zabarwiony wyrażeniami niemieckiemi. Żywioł niemiecki ma istotnie po miastach na ogół wielką siłę. Składa się, przeważnie z urzędników państwowych, urzędników kopalń i pezdsiębiorstw przemysłowych, które po części są własnością państwową, po części prywatną, z kupców i rzemieślników. Można to przyjąć za rzecz pewną, że kto opuścił wieś i przeniósł się do miasta, ten tracił lub co najmniej zaniedbywał polski język. Nikt się temu nie dziwił, gdyż mówić i żyć po niemiecku oznaczało tyle, co postąpić w kulturze, stać się „panem“, lub być „fain“. Lecz dzięki niemczeniu się urzędników składa się przeważna ich część z ludności miejscowej, tubylczej. I dzisiaj dzięki Bogu wielu urzędników zaczyna się przyznawać do narodowości polskiej. Skoro się zaś wydoskonalą w polskim języku, stanowić będą mogli doskonały polski materyał urzędniczy. Wielu z nich zrozumiało znak czasu i kształci się na kursach, urządzanych niemal we wszystkich większych miastach w polskim języku.

Uświadomienie narodowe zaczyna się budzić także wśród nauczycielstwa, chociaż jest to żywioł najwięcej zawzięty. Ale i wśród nich pochodzi największa część z pośród ludności miejscowej, tak, że po wyuczeniu się polskiego języka będą mogli kierować polską szkołą. Pod tym względem inne są tutaj stosunki jak w Księstwie, gdzie wśród nauczycieli, jakoteż innych urzędników było ogromnie wielu nasłanych z Westfalii, Nadrenii i t. d. Wielka ilość urzędników kolejowych, oczywiście niższych kategoryi, przyznaje się dzisiaj otwarcie do polskości, wstępując wielkiemi masami do „Zjednoczenia Zawodowego Polskiego“. — Podobny ruch rozpoczyna się także wśród niższych urzędników pocztowych. Pozatem są urzędnicy niemieccy ostoją niemczyzny. Każdy z nich tworzy niejako biuro plebiscytowe, które szpieguje każdy ruch polski i rozsiewa najniemożliwsze wiadomości o Polsce, o jej rządach, biedzie itd.

Niemieccy kupcy i rzemieślnicy zapatrują się na przyszłość Górnego Śląska przeważnie z punktu widzenia własnego interesu, chociaż samo wspomnienie o Polsce uważają często za zdradę stanu. Są jednakże żywioły, które zupełnie wyraźnie mówią o przyłączeniu Śląska do Polski. Tworzy się nawet wśród nich osobne stowarzyszenie „zwolenników przyłączenia się do Polski“. Równocześnie wysuwają postulat szerokiej autonomii dla Górnego Śląska. Obawiają się zwłaszcza żydów. Dość silnie pokutuje wśród Niemców myśl, rzucona czasu swego przez rząd niemiecki, aby utworzyć odrębne państwo górnośląskie w połączeniu ze Śląskiem Cieszyńskim. Zdaje się, że ostatnie wypadki berlińskie myśl tę bardzo silnie ożywiły.

Jak będzie wyglądał człowiek przyszłości?

(m-m) Według wywodów francuskiego anatoma Le Dowbla, człowiek przyszłości będzie miał większą czaszkę, mniej zębów i krótsze ręce, jak człowiek obecny, od którego będzie się dość znacznie różnił postacią bynajmniej nie in plus. W dalszym ciągu wywodzi uczony, który od lat studyuje ewolucyę ludzkiego organizmu, że rozwój białej rasy idzie w kierunku wytwarzania typu o silniejszej górnej części czaszki, o szerszem i wydatniej sklepionem czole. Fakt, iż pożywienie nasze coraz mniej przedstawia trudności dla czynności gryzienia, zmniejsza siłę szczęk i redukuje ilość zębów. Wśród prymitywnych plemion australijskich znajduje się często ludzi, którzy mają po 36 i więcej zębów. Biały człowiek przyszłości będzie zadowolonym, jeżeli w swej jamie ustnej naliczy 28 zębów. Tors przyszłego człowieka będzie słabiej rozwinięty i o mniejszej ilości żeber, bo żebro pierwsze, jedenaste i dwunaste znajduje się obecnie w stanie zaniku. Ręka kurczy się stopniowo, natomiast sama dłoń rozwija się coraz silniej, szczególnie palce nabierają giętkości i niejako usamodzielniają się. Przeciwnie ma się rzecz ze stopą, która zdegradowana do roli wyłącznie podpory, wykazuje coraz słabszy rozwój. Szczególnie mały palec można uważać za organ szczątkowy, skazany na zagładę.

Tragedya sobowtóra.

Tragiczny los stał się udziałem angielskiego botanika Horacego Leshe, który jeszcze kilka miesięcy temu był jednym z najszczęśliwszych ludzi i żył spokojnie w zacisznem gniazdku domowem otoczony rodziną. Obecnie posiada wprawdzie jeszcze żonę i dzieci, ale dom jego zniszczony, oszczędności wyczerpane i z rozpaczą walczyć musi o ostatniem, co mu pozostało: o swoją dobrą sławę. Powodem tych wszystkich nieszczęść jest jakiś tajemniczy sobowtór, który popełnia na rachunek Horacego Leshe przestępstwa. Leshe stracił cały majątek na adwokackie honorarya, ponieważ musiał się bronić przed oskarżeniami, skierowanemi przeciwko owemu sobowtórowi. Miesiącami trzymano go za winy tamtego w więzieniu, a żona tymczasem zmuszona była sprzedawać meble, aby wyżywić siebie i dzieci. Zawodu swego nie mógł przez długi czas wykonywać, teraz zaś musi wytężać całą energię, aby oczyścić swój honor z ciążących na nim plam i fatalną sprawę wyjaśnić.

Nieszczęście to spadło na pana Leshe jak piorun z jasnego nieba. Nagle zjawiło się u niego dwóch urzędników policyi kryminalnej, którzy oświadczyli, że mają rozkaz aresztowania go jako szantażysty, który od pewnego pana w Glowcester wyłudził 11 funtów szterlingów. Pomimo zapewnień pana Leshe, że zachodzi tu jakaś pomyłka, wtrącono go do więzienia. Wkrótce jednak wypuszczono go na wolność, stwierdziwszy „nieporozumienie“. W kilka dni później Horacy Leshe znalazł się znowu w więzieniu pod zarzutem oszustwa. Podczas rozprawy sądowej zdołał udowodnić swoje alibi i odzyskać wolność. Zanim jednak zdołał powrócić do domu — aresztowano go ponownie, zakuto w kajdany i wywieziono do Hull. Święta Bożego Narodzenia spędził w celi więziennej. Wypuszczono go w Sylwestra, aby już 6-go stycznia wnieść przeciwko niemu nowe oskarżenie.

— Dzień i noc — powiada nieszczęśliwy — czuję na karku rękę policyi i obawiam się, że przez resztę mego życia będę musiał wędrować od więzienia do więzienia, jeżeli nie stanie się coś, co tę fatalną sprawę rozwikła!

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

14 (Dalszy ciąg).

Ten tak zwykle spokojny jurysta zdawał się być wzburzony. Szybko rozejrzał się po pokoju, zatrzasnął gwałtownie drzwi i zaczął odrazu:

— Traddeton, czy zechcesz mi pan bez ogródek odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Ależ oczywiście! O co chodzi?

— Coby pan powiedział, gdyby pana, poproszono, abyś zaniechał dochodzeń w sprawie panny Irving?

— Wytłomacz się pan, proszę, jaśniej!

— Gdyby panu oświadczono, że wszystko polegało na pomyłce i nieporozumieniu, że przypuszczalna oszustka jest prawdziwą Alicją Irving? Cóż wtedy?

— Poprosiłbym, aby mi to udowodniono! Więc co się stało? Mów, pan!

— Po to tutaj przyszedłem. Nie mamy czasu do stracenia, bo za chwilę zjawi się Reginald Grey z prośbą o zaniechanie dochodzeń, bo on się omylił! Przekonał się, że prawdziwa Alicja Irving jest w domu i tylko prowadziła z nim podwójną grę, chcąc zerwać zaręczyny!

— To nadzwyczajne! I cóż dalej?!

— Regie przysięga, że ona go już nie kocha, bo oddała serce jakiemuś innemu mężczyźnie! Wszystko to brzmi dość prawdopodobnie i gdybym nie znał obu panien, gotówbym w to uwierzyć! Ale ta dziewczyna nie jest Alicją Irving! a tymczasem Grey nalega, aby dać spokój całej sprawie!...

— Właśnie w tym momencie, kiedy zaczyna być naprawdę interesującą — mruknął Traddleton — Pan Grey zapomina, że obecnie chodzi nietylko o Alicję, ale i o małego Claxtona, wobec czego — niedokończył, bo zapukano energicznie do drzwi.

Był to Reginald Grey, który odrazu bez wstępów zaczął mówić o celu swego przybycia.

— Wszystko było fatalną pomyłką... To jest prawdziwa Alicja, przekonałem się o jej identyczności!... Tylko uczucia jej zmieniły się dla mnie... Ona mnie już nie kocha!... Ona ukrywa jakąś tajemnicę i zdaje mi się, że Alcja nie życzy sobie, aby zbadano tajemnicę jej wprowadzenia... Unika starannie tego tematu, omija go!... O jakiż ze mnie był zaślepiony głupiec!...

Upadł ciężko na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

Traddleton zamienił porozumiewawcze spojrzenie z Briddgerem, poczem rzekł:

— Grey, czyś pan zupełnie pewny tego, co twierdzisz?

— Najzupełniej! — odparł głucho Reginald.

— Więc proszę mnie posłuchać uważnie. Gotów jestem zawiesić śledztwo, ale pod pewnym warunkiem. Czy pan się już zmówił z panną Irving?

— Jeszcze nie! Ale uczynię to dzisaj zaraz! Niech mi wreszcie powie...

— Wysłuchaj naprzód pan tego, co ja powiem! — Jak panu wiadomo wprowadzenie małego Claxtona pozostaje w ścisłym związku z wprowadzeniem panny Irving!... Obowiązkiem moim jest uczynić wszystko, co się da, dla odnalezienia biednego dziecka!... Przytem możliwe, że tajemnica panny Irving jest jeszcze mniej przyjemną dla niej, niż pan sądzi!... Mam nawet pewne powody po temu, by tak mniemać. Dlatego proszę pana o odroczenie jeszcze na czas pewien decydującej rozmowy... Niech pan poczeka jeszcze — ze trzy tygodnie... Nie musi pan przecież zbyt często widywać się z panną Irving!...

— On ma słuszność Regie! — wtrącił Percy — zastosuj się do tego!...

W tej chwili otwarły się drzwi gwałtownie i do pokoju wpadł jak burza kapitan Rohan.

— Dzień dobry! — zawołał wesoło — Traddleton! proszę przeczytaj pan ten swistek!...

Traddleton przebiegł szybko oczyma kilka wierszy i rzekł:

— Chciałbym to przeczytać głośno. Zgadza się pan? A zatem...

Kapitan Rohan *To jezd wielga tajemnica i ja się nie moge podpisać. Wczoraj wieczorem wynieszono z domu waryjotów Brookdda młodom kobitę i małego chłopaka. Tak mi się widzi, że ich uśpili. A tera pan róp co ci poczeba*

Pszyjaciel

Ta nieortograficzna i niekaligraficzna bazgranina może być poprostu „kawałem“. Co pan sądzi o tem, Traddleton?

— Proszę mi zostawić ten list. Gdybym pana potrzebował, to dam znać, spieszy się panu, kapitanie?... No to dowidzenia!

— Żegnam! — wykrzyknął Rohan i już go nie było.

Traddleton kartkę wręczoną mu przez kapitana schował troskliwie do portfelu, poczem zwrócił się do Reginalda z zapytaniem:

— Cóż powziął pan jakie postanowienia?

— Tak jest zgadzam się.

— Doskonale. A teraz możebyśmy poszli na śniadanie, bo jestem piekielnie głodny... Ach! Boże wielki — znowu telefon!...

Hallo!... Tutaj Traddleton! A to pani, Doro? — Tak Za godzinę u mnie w biurze. Dobrze. Moje uszanowanie.

Po upływie godziny fertyczna pokojówka panny Irving siedziała przy biurku Toma Traddletona i opowiadała mu, jaką to dobrą, łagodną i uprzejmą jest panna Alicja.

— Ale i sprytu nie można jej odmówić, bo też nie dziwiłabym się wcale, gdyby mnie zaczęła podejrzywać. Wie pan, panie Tomie, że to szpiegowanie zaczyna mi być przykrem... Przyznam się otwarcie, że ja tę młodą damę polubiłam... Czasem zastanawiam się nad tem, czy to jednak nie jest prawdziwa Alicja Irving.

— Co pan też?! Proszę wytłomacz się pani, jaśniej.

— Przedewszystkiem jest w każdym calu, w każdem przyzwyczajeniu i powiedzeniu dystyngowana kobieta z najlepszego towarzystwa. Obserwuję ją pilnie i nie mogę uchwycić czegoś, coby wskazywało, że to jest awanturnica... Choćby najlepiej grała komedyę, to jednakowoż jakiś szczegół wątpliwy musiałby ją zdradzić...

— A to się nie zdarzyło?

— Nie!

— Istotnie, ciekawe!

— Tom, przybyłam tutaj, aby panu oddać ten list. Wczoraj pan Irving urządził przyjęcie w wyłącznie męskiem towarzystwie. Po obiedzie panna Alicya udała się do swego pokoju, usiadła przy biurku i zaczęła pisać list. Ja sprzątałem obok w ubieralni. Nagle odwołano ją, aby przyjęła jakąś panią, która niespodzianie przybyła w odwiedziny. Zbiegła z takim pośpiechem, że nie zdążyła schować swych przyborów piśmiennych. Wówczas ja szybko wsunęłam kalkę pod zaczęty list...

— Wyśmienity pomysł!...

— Nie będę panu opowiadała szczegółowo wszystkiego, ale oto ten list...

Traddeton wziął arkusik do ręki, a gdy rzucił nań okiem — zdumienie wyraźne odmalowało się na jego twarzy.

Treść listu była następująca:

Do p. Johna Wortona, dozorcy więzienia w Chicago.

Szanowny Panie!

Jak się dowiedziałam, wśród pańskich więźniów znajduje się niejaki Artur Snelling, który ma być stawiony przed sądem jako podejrzany o udział we włamaniu. Podobno stan jego zdrowia mocno sę pogorszył. Czy zechce mi pan donieść, jak się on właściwie miewa, bo dochodzącemi mnie wiadomościami jestem mocno zatrwożona i strapiona. Bądź pan tak dobry i zechciej mi napisać, czy choroba istotnie jest niebezpieczną, a jeżeli takby być miało, to czy mogłabym go odwiedzić, skoro przyjadę do Chicago. Pragnę również zapewnić mu pierwszorzędną obronę prawną a pokryję wszystkie wydatki na jego jak

najstaranniejsze odżywianie. Nieszczęśliwy więzień jest człowiekiem blizkim dla mnie, proszę więc pana, któryś tylu...

Tu list urywał się nagle. Traddleton w milczeniu położył go na biurku.

— I cóż? — zapytała Dora.

— Czy panna Alicya projektuje podróż do Chicago?

— Tak jest. Przeglądała już nawet rozkład jazdy. Zdaje się wszakże, że ojciec i panna Irving starsza są temu przeciwni.

— Czy tak? — Traddleton uśmiechnął się z widocznem roztargnieniem.

— Oho! — zaśmiała się Dora — jak pan już robi taką niewyraźną minę, to znaczy, że mózg pański pracuje wytężająco. Wątpię, aby pan miał obecnie ochotę do dalszej rozmowy, uciekam zatem. Do zobaczenia, Tom!

ROZDZIAŁ XVII.

Nowy punkt widzenia.

Traddleton i Briddger odbyli długą naradę na zakończenie której detektyw zapytał:

— Czy odpowiada panu mój projekt?

— Najzupełniej. Gdyby mi pan nawet nie polecił tam jechać, to zrobiłbym to na własną rękę.

— A zatem dobrze. Pan postara się nietylko dowiedzieć, co znaczy ta zapowiadana w więzieniu wizyta, ale zechce pan także zapewnić młodej damie opiekę i pomoc, jeżeliby jej potrzebowała... Albowiem sądzi pan, że jest to istota szlachetniejsza, niżby z pewnych okoliczności sądzić można... Nieprawdaż?

— Takie istotnie odnoszę wrażenie. A pan co myśli o tej sprawie?

— Szczerze mówiąc, sam już nie wiem, co mam myśleć!... W każdym razie ta dziewczyna nie jest zwykłą awanturnicą — przysiągłbym na to! Albo to jest najzręczniejsza komedyantka, jaką kiedykolwiek widziałem w życiu, ale nieszczęśliwa istota, której charakteru i pobudek działania na razie zrozumieć nie możemy. Niech pan ją ma na oku i postępuje tak, jak tego będą wymagały okoliczności. Czy ma krewnych w Chicago?

— O tak. Przedewszystkiem kuzynem moim jest niejaki Fayne, adwokat. Zaraz do niego napiszę. Z pewnością zna on także tego Wartona. Do widzenia, Traddleton!

Wkrótce po wyjściu młodego adwokata zjawił się w biurze Traddletona doktór Flack.

— Mam dla pana nowinę, drogi przyjacielu — zawołał — i to dobrą nowinę!

— Mów, doktorze!

(C. d. n.).

Austryę dobiła zabójcza głupota ces. Karola.

Okręt tonący bez ratunku. — Rewolucya u drzwi, a cesarz pijany. — Namiestnik Galicyi hr. Huyn. — Dymisya premiera przez telefon.

Sensacyjne rewelacye b. prez. min. Körbera.

W numerze kwietniowym miesięcznika „Das Neue Europa“ publicysta niemiecki Melbourn zamieszcza wynurzenia b. prez. min. Körbera o zdarzeniach i osobistościach, którym przypadła wybitna rola w czasach ostatnich, poprzedzających bezpośredni upadek monarchii austro-węgierskiej. Między innymi dr. Körber dał wyraz swemu poglądowi na ostatniego cesarza Karola I., mniej więcej w następujących słowach:

Przyznaję, że młody cesarz wstępując na tron, zastał bezwładny okręt, który jednak swem postępowaniem szybko i bezlitośnie zatopił. Przystępny wszelkim zakulisowym intrygom, a szczególnie takim, które

schlebiały jego skłonności do szybkiej i częstej zmiany funkcyonaryuszy państwowych

cesarz kierował się w wyborze swoich prezydentów, ministrów i doradców wprost zabójczą naiwnością. Podczas audyencyi różnych przywódców partyjnych aprobował zażalenia i życzenia każdego z nich i dawał przyrzeczenia, których ministrowie jego spełniać nie mogli. Przywódcy południowych Słowian drowi Koroschecowi, który go zapewniał o najpoddańszej lojalności i wierności południowych Słowian, wierzył, a kiedy ten zwracał się przeciw prezydentowi ministrów Clam-Martinitzowi, cesarz natychmiast zarządził dymisyę tego prezydenta, który swoją drogą, nie dorósł do swego zadania.

Cesarz Karol był wyraźnem przeciwieństwem ces. Franciszka Józefa I. Nieszczęsne kunktatorstwo młodego cesarza coraz bardziej podkopywało znaczenie korony. Po mojej dymisyi nikt mu nie otworzył oczu, a bezgraniczne poddawanie się min. prez. Seidlera, zaostrzyło jeszcze sytuacyę. Także i w armii coraz częściej podnosiły się głosy przeciwko nieporadności młodego panującego.

W żadnej armii nie było tylu i tak bardzo budżet obciążających generałów-pułkowników, jak w austryackiej.

Gdy dn. 12 października 1918 r. przywódcy wszystkich stronnictw parlamentarnych zostali zaproszeni na audyencyę do Badenu, cesarz na największej ilości posłów wywarł wrażenie, jakoby sobie zupełnie nie zdawał sprawy z powagi sytuacyi.

Rewolucya stała już u drzwi, a młody **cesarz był wesół i w szampańskim humorze,**

a przez długi czas zapałał się nawet do idei stworzenia Mało-Austryi, byleby tylko pozostał przy koronie, a nie miałby nawet nic przeciw temu, by nawet niemiecką część Czech odstąpić Niemcom. Zupełne amnestowanie dra Kramarza, które nastąpiło za poradą przywódców czeskich, południowych Słowian, dyletancka polityka Clam-Martinitza, Seidlera, a w końcu ostatnia mowa parlamentarna i katastrofalny manifest Husarka, były hasłem do obalenia tronu i monarchii. Do nieodpowiedzialnych doradców cesarskich, jak Hohenlohe, Fürstenberg i inni arystokraci, przybył następnie nowo kreowany hr. Polzer, kierownik kancelaryi gabinetowej, który również

zalecał cesarzowi fatalne amnestowania,

a następnie wskutek interwencyi węgierskich mężów stanu stanowisko swe postradał. Ja za żadną cenę nie byłbym doradził zupełnej amnestyi przywódców czeskich. Kiedy cesarz ułaskawiał zasądzonego na śmierć dra Kramarza i zamienił mu karę na 15 lat więzienia, Czesi w parlamencie, a w szczególności dr. Strański byli bardzo zadowoleni.

Z powodu niemieckich zwycięstw byli Czesi wówczas bardzo powściągliwi i mówili: „Nareszcie pozbyliśmy się Kramarza na dłuższy czas“. Wtem nagle ku ogólnemu rozczarowaniu, przyszło zupełne ułaskawienie Kramarza i wszystkich w procesie jego zasądzonych, a nawet Klofacza wypuszczono wówczas na wolną stopę, mimo, że było powszechnie wiadomem, że

całe oddziały wojsk czeskich przechodziły do nieprzyjaciela

wśród okrzyków: „Niech żyje Klofacz!“. Od owej to też chwili poczęła się intenzywna robota przewrotowa Czechów. Prezydent ministrów Clam-Martinitz pozostawił cesarzowi Karolowi zupełnie wolną rękę, nie mając sam na zarządzenia jego żadnego wpływu. Zamianowanie gen. Huyna namiestnikiem Galicyi wywołało największe zdziwienie wśród sfer cywilnych, jak i wojskowych, żadna prawie w państwie osobistość właśnie tak mało nadawała się na to tak bardzo odpowiedzialne stanowisko.

Zamianowanie Huyna namiestnikiem Galicyi nastąpiło ponad głową Clam-Martinitza,

który dopiero potem dowiedział się o niej. Dymisya samego Clam-Martinitza nastąpiła pośród następujących okoliczności. Podczas audyencyi dr Koroszetz, przywódca południowych Sło-

wian, oświadczył Karolowi, że cesarz jest ideałem południowych Słowian, którzy poszliby za niego w ogień, byłoby jednak wskazanem, by Clam-Martinitz pozostawał dalej na czele rządu. Cesarz enuncyacyą tą był nader zachwycony i połączył się z Laksenburgu natychmiast z Clam-Martinitzem. Ten właśnie był na posiedzeniu Koła polskiego, gdzie konferował z ministrem Bilińskim.

Gdy przystąpił do telefonu, cesarz odezwał się do niego w te słowa: „Dymisyę całego gabinetu przyjąłem“. Clam-Martinitz, który do dymisyi zupełnie się nie podawał, opuścił posiedzenie, wymawiając się misyą polityczną, nie cierpiącą zwłoki.

Francuz o Paderewskim.

Spotkanie na wystawie. — Uwielbienie dam. — Owacya pod parasolem. — Męski uścisk dłoni.

Paryż, 28 marca.

Abel Hermant, uzdolniony powieściopisarz francuski, wytworny krytyk i błyskotliwy feljetonista, zamieścił w jednej ze swych kronik tygodniowych w paryskim „Temps“ wspomnienia o Paderewskim.

Z wystawy paryskiej w 1900 r. — pisze Hermant — mam tylko jedno wielkie wspomnienie.

Wystawa była naogół nudna, choć tak starannie urządzoną, to też nudziłem się szalenie. Dnia pewnego wszakże błąkając się smętny po ulicy Narodowej spotkałem na niej Paderewskiego. Ci, którzy znają go tylko z koncertów, mają go za wirtuoza, gdy tymczasem to nie wirtuoz, lecz artysta najgłębszej wrażliwości, a co więcej człowiek uniwersalny. Wszystkiego się uczył i najzawrotniejsze systema filozoficzne nie są mu obce. Stwierdził on w praktyce teoryę Platona, że do polityki nadają się jedynie filozofowie. Do fortepianu zabrał się stosunkowo późno, prawie amator. Wielki to pan zresztą, choć niesłychanej prostoty w obejściu, u siebie w domu najwspanialszy w świecie i najserdeczniejszy gospodarz, darzący rozrzutnie gości swych osobą swą i przepychem. Rozmowa jego jest olśniewająca. Spotkawszy go wtedy, przestałem się nudzić. Lecz naraz spadł deszcz ulewny, gdyż pogoda była jak to mówią normalna. Schroniliśmy się obaj z Paderewskim w podsieniu jakiegoś pałacyka wystawowego, przedstawiającego nie wiem już jaki naród, być może taki, który nigdy nie istniał. Paderewskiego wnet poznano. Otoczył go natychmiast rój młodych i starych dziewic, z których każda machała pocztówką, żądając podpisu na pamiątkę. Podpisywał wszystkim bez wytchnienia pod swym ociekającym parasolem, bo ten człowiek nie umie odmawiać, a plecy moje służyły mu za biurko, z czego byłem zresztą bardzo dumny. Widzę go jeszcze zda się, jak pisze tak i pisze, rad wszystkim dogodzić. W dalszym ciągu skarży się tylko Hermant na zbyt mocny uścisk dłoni Paderewskiego. Widocznie cherlawy nieco Francuz nie mógł się dostroić do męskiego wzięcia polskiego artysty. „Człowiek omal nie krzyknie z bólu, gdy się z nim żegna lub wita. Nikt się nie może pochlubić, że wstrząsnął jego dłonią, bo to on ludźmi trzęsie.

* * *

Pieśń dziadowska urzędnika.

Hej, urzędniku! w lament uderz babski:
Chce pragmatyką obdarzyć cię Grabski;
Nad twojem szczęściem już pracuje bystra
Głowa ministra

Choć o ciężarach twoich prawił w Sejmie,
Sto nowych włoży, żadnego nie zdejmie,
Bo rządowego los Galileusza
Strasznie go wzrusza.

W dziurawą kieszeń duchem wstawiaj łatki,
By wleźć w nią mogły obfite dodatki;
Z dyet rozkosznie żyć będziesz na świecie
W ścisłej dyecie.

Floty o każdej spodziewaj się porze,
Boć przecie własne posiadamy morze...
Niech się więc każdy z urzędniczej rzeszy
Nadzieją cieszy.

Boże Wszechmocny! Błagamy: Postanów,
By flota z pośród straszliwych bałwanów
Spłynęła wreszcie w rychłej czasu skali
Do Portugalii.

Wnet urzędnicze golenie i barki
Nakryją majtki oraz marynarki;
Wszak one tworzą przecież rdzeń istoty
Każdziutkiej floty.

Wszystko nam polskie przywiozą okręty
Z błogosławieństwa życzliwej Ententy,
Która ci kocha w sposób nadzwyczajny
Kraj ropodajny.

Włoch nam figowe liście przyszle w darze,
Anglik też... figę z daleka pokaże
I pchnie nam tknięty miłością ojcowską
Misyę żydowską!

Francuz Polakom rzuci dobre słowo,
Czem demokracyę wzruszy narodową;
Słowa braterstwa, mocne niby wino,
Zewsząd Ci spłyną.

Wnet urzędniku, skończy się twa bieda.
Grabski Ci przecież w nędzy skonać nie da;
Stobiecki sprawi, że każdy wnet będzie
Tonął w „wiwendzie“.

Niech Cię radości spazm ogarnie słodki:
Z Gdańska nadlecą żywnościowe środki
Już płyną Wisłą na wdzięcznym korabie
Korty, jedwabie!

W drodze już śledzie, słonina wędzona
I puszki mleka prosto od Wilsona,
Słowem — wnet urząd przemieni się w jeden
Rozkoszny Eden.

Mazur.

W dziewiczych krajach Afryki.

14 (Dalszy ciąg).

XIII.

Odwiedziny.

— Jak się masz, Gobbi — rzekł bez wstępu nowo przybyły, wchodząc do sali tronowej. — Winszuję ci szczęśliwego powrotu i życzę ci, jak niemniej potomstwu twemu, najlepszego powodzenia.

— Dziękuję, Motnu-Sambu — odrzekł wielki monarcha, z miną skrzywioną.

— No, no, uspokój się, stary pijaku — mówił dalej przybysz, który doskonale zrozumiał powód zakłopotania Gobbiego — nie przychodzę dziś bynajmniej żądać od ciebie tafii, którą przyniosłeś.

Gobbi odetchnął, a usta jego, ściągnięte do uszu, wyraziły uśmiech zadowolenia.

— Słuchaj, moja perło — ciągnął dalej ten, którego zwano Montu-Sambu, dając królowi przydomek, jakim go obdarzył raz w przystępie dobrego humoru — słyszałem, żeś z wycieczki swojej na Rio das Mortes przyprowadził dwóch białych, czy to prawda?

— Momtu-Sambu jest tak doskonałym wieszczbiarzem, jak moi gangasowie — odpowiedział sova ze swym drapieżnym uśmiechem. — Rozumie on, że to wielki skarb posiadać dwóch białych niewolników i przychodzi do mnie, jak kapłani Maramby, żądać ich na swoje usługi.

— A tybyś pragnął, gdyby to było w mocy twojej, uciąć mi głowę, albo otruć, jakeś to zrobił z gangasami?

— To prawda, tego zrobić nie mogę, straszliwy duch Mewuja dał ci gri-gri przeciw śmierci; nie utnę ci więc głowy, ale ci i dwóch moich niewolników nie dam.

Nieznajomy chciał odpowiedzieć Gobbiemu, że sam potrafi ich wziąć sobie, ale się pomiarkował i rzekł spokojnie:

— Cóż mi po twoich dwóch niewolnikach? Wiesz o tem dobrze, że między białymi niema niewolnictwa; zresztą, czyż nie mam do usług tylu czarnych, ilu potrzebuję? Przyszedłem tylko pogadać trochę z nimi: już tak dawno nie widziałem ludzi z kraju mego!

Gobbi rzucił na gościa spojrzenie pełne nieufności, ale zbyt wiele miał powodów oszczędzania go, aby odrzucić żądanie. Po niejakiem więc wahaniu dał znak Momtu-Sambu, aby szedł za nim.

Poszli więc razem ku wewnętrznemu podwórzu, łączącemu się z mafuą, czyli ogrodem przy mieszkaniu. Żołnierz czarny, stojący u wejścia, sprezentował przed nimi broń po europejsku i weszli do zagrody, w której Guillis i Barthet, pełni niepokoju, oczekiwali odwiedzin, których z całej duszy pragnęli.

— Najmniejszego poruszenia, najmniejszego gestu — rzekł nieznajomy, przybliżając się do nich, jak gdyby witał ich poprostu — najmniejsze powstrzymajcie wzruszenie, inaczej nie odpowiadam za was. Odwagi! ocalić was przychodzę.

Zalecenie to, wypowiedziane w najczystszej francuszczyźnie, było wielce na miejscu, bo dwaj więźniowie, usłyszawszy mowę ojczystą, już radością wybuchnąć mieli, która niewątpliwie wzbudziłaby najsilniejsze w Gobbim podejrzenie. Nadzieja jednak przyszłej swobody dała im siły do udawania zupełnej obojętności.

— Witaj nam — odrzekli mu z pozornym spokojem, dziwną tworzącym sprzeczność z rumieńcem, który nagle wykwitł na ich twarzy — witaj, pierwszy przychodniu, przynoszący nam słowa pociechy.

— Ukłońcież się temu staremu niedźwiedziowi — dodał szybko Momtu-Sambu, wskazując na Gobbiego.

Dwaj młodzieńcy z największą powagą pochylili głowy przed sovasem.

— Co oni mówią? — zapytał król z miną niespokojną i zadziwioną.

— Niewolnicy twoi powiadają, że mają się za szczęśliwych, mogąc służyć tak wielkiemu monarsze i pozdrowili cię zwyczajem europejskim.

— To dobrze! — odpowiedział Gobbi, nadymając się. — Powiedz im, że jeśliby próbowali ucieczki, każę ich spalić żywcem przed wielkim Marambą: ale jeżeli zgadzają się żywot swój zakończyć w Matta-Zamba, dam im wysoki stopień w mojem wojsku.

— Żegnam was — rzekł nieznajomy do młodzieńców, tłumacząc niby wyrazy sovasa — chciałem was tylko widzieć na chwilę, a zbyt długa rozmowa wzbudzałaby podejrzenie.

— Kiedy przyjdziesz znowu? — spytał Barthet, z pewnym niepokojem.

— Obietnice twoje spełniają ich życzenia, wspaniałomyślna perło — mówił dalej nieznajomy, niby odpowiadając w ich imieniu na propozycyę Gobbiego — dumni będą, niosąc oręż przeciw wrogom twoim.

Król kazał im powiedzieć jeszcze, że pragnął mieć straż przyboczną taką, jaką ma gubernator Benguelini że każe im ćwiczyć żołnierzy swoich.

Oddając Gobbiemu dwóch przyjaciół, Noel nie zapomniał dodać, że obadwaj są wojskowymi i że mu wielką będą pomocą przeciwko sąsiednim władcom, z którymi w ciągłej był wojnie dla zyskania niewolników. Dlatego to Gobbiemu tak chodziło o białych i dlatego właśnie nie wahał się poświęcić pół tuzina gangasów swoich, którzy chcieli mu ich wydrzeć, pod pozorem woli wielkiego Marmaby.

— Czy możemy mieć nadzieję zobaczenia cię rychłego? — spytał Barthet powtórnie niespodziewanego wybawcę.

— Tej nocy jeszcze.

— Gdzie?

— Po zajściu księżyca udajcie się na koniec mafui; znam sposób dostania się do niej bez zwrócenia uwagi strażników, którzy zresztą boją się mnie więcej, niż króla swego. Przyjdę porozumieć się z wami.

— Zostaw nam imię swoje, jako zakład nadziei, żebyśmy wiedzieli, kogo błogosławić mamy...

— Tu jestem Momtu-Sambu, „człowiek nietykalny“; dwa te słowa tłumaczą wam tajemnicę zabobonnej bojaźni, jaką wzbudzam w tych bydlętach. Na brzegach Bretanii, gdziem się urodził — mówił nieznajomy tonem smutnym — zwano nie niegdyś... bardzo dawno temu... Yvesem Loennekiem!

Następnie, przesunąwszy dłoń po czole, jakby chciał odpędzić wspomnienie, z nerwowym śmiechem rzekł do Gobbiego:

— Chodź, stary klocu hebanowy... dawaj kieliszek tafii, niech go wypiję za twoje zdrowie!

XIV.

Momtu-Sambu. — Projekty ucieczki.

Przebiegnij kulę ziemską we wszystkich kierunkach, zapędź się w najdziksze okolice, zbłąkaj się na morzach podbiegunowych, w trzcinnikach Azyi, w sawanach Ameryki, w mafuach Afryki, w zielonych stepach Australii i wśród niezliczonych wysp Oceanii, okrąż wszystkie przylądki i przemknij się przez wszystkie cieśniny, a wszędzie, gdzie stopę postawisz, napotkasz człowieka, który cię już uprzedził.

Człowiekiem tym jest marynarz... nie ten, który żegluje i sumiennie zawód swój spełnia, bądź jako kupiec, bądź jako żołnierz, bo ten, odbywszy swój obowiązek, lub znudzony dalekiemi podróżami, wraca i zostaje rybakiem na brzegu, na którym się urodził. Taki człowiek jest prosty i karny, uczciwy i odważny do heroizmu i najzupełniejszego zaparcia się samego siebie, a choć dziesięciokrotnie objechał świat cały, nie zna nic więcej nad swój statek i kilka portów, w których zatrzymał się przypadkiem i w których, ulegając ogólnemu popędowi, zjadał w ciągu doby swój żołd trzymiesięczny... Ale marynarzem, którego ślad wszędzie napotkać można, jest ten, co popchnięty przez fatalność, lub wybryk szalony, musiał wyskoczyć z okrętu, jak mówią marynarze, czyli poprostu zbiedz z niego... Taki idzie, gdzie go oczy niosą, ucieka przed cywilizacyą, która go razi w osobie konsulów swej narodowości, przystaje do pierwszego lepszego dzikiego plemienia, które nie zamordowało go na wstępie i tem łacniej wdraża się w pierwotny byt jego im bardziej natura jego dzikością i bru

talnością swoją licuje z obyczajami plemienia owego.

Będzie on wtedy skalpował z Apaczami i Kamanczami, będzie żył tranem z Eskimosami, będzie jadł ryby surowe z krajowcami Mankizów lub dowodził armią jakiegoś murzyńskiego władcy na wybrzeżach Afryki.

Czasami, jeśli jest tyle zręczny, ile odważny, zostaje królem.

Ziemia nie miałaby już tajemnic dla geografów, gdyby podobny marynarz-kosmopolita rozumiał ważność odkryć niechcący przez siebie dokonanych, a mianowicie, gdyby umiał określić swe drogi i wyznaczać położenia geograficzne miejscowości.

Yves Laennec był jednym z podobnych marynarzy wykolejonych, a historya jego jest bardzo prosta.

Przed dziesięciu laty stał on na kotwicy w zatoce Saint-Paul de Loanda. Jako nowicyusz na pokładzie statku wojennego odbywał pierwszą swą podróż. Pewnego dnia, pełniąc służbę na ładzie, miał nieszczęście w szale zapomnienia uderzyć w twarz pierwszego sierżanta załogi, który go poszturchał nieco za lekkie przewinienie.

— Pochwyćcie tego człowieka! — krzyknął sierżant na majtków, nie posiadając się z wściekłości.

— Uciekaj! — krzyknęli mu do ucha towarzysze, niby szamocząc się z nim.

Yves zrozumiał, że tu chodzi o jego głowę i wyrwawszy się, szybko popędził wzdłuż brzegu ku miastu murzyńskiemu, oddzielonemu od cyrkułu europejskiego fosą pełnej wody.

Na rozkaz starszego majtkowie puścili się za zbiegiem, z wyraźnym zamiarem niezłapania go: znali bowiem straszne następstwa czynu Lenneka i wiedzieli dobrze, co go czeka dla przykładu. Potępiając go, w duszy radzi byli, jeśli ujść zdoła; ale sierżant, który oprócz zemsty za swą obelgę, miał jeszcze karność na względzie, rzucił się z innymi, a niebawem, wyścignąwszy wszystkich, dopędził go.

— Poddaj się! — krzyknął, chwytając go za kołnierz.

— Sierżancie, nie posuwaj mnie do ostateczności — odpowiedział nieszczęśliwy, pijany wściekłością.

— Nie pogarszaj oporem swej sprawy! — wołał dalej sierżant.

— Sierżancie! na Boga, puszczaj mnie!

Majtkowie nadbiegli na pomoc starszemu.

Laennec widział się przed sądem wojennym, skazanym, następnie rozstrzelanym; wspomniał na kraj, na matkę, której nie zobaczy więcej i stracił głowę... Chwycił za nóż wiszący u pasa i wbił go w piersi sierżanta. Czując się wolnym, rzucił się w fosę, z niesłychaną siłą wydrapał się na skarpę przeciwną i wpadł w labirynt ciasnych i ciemnych uliczek murzyńskiego miasta.

W pół godziny później, na skutek skargi dowódcy statku, gubernator miasta kazał wojskiem otoczyć chaty krajowców i wysłać pogoń na wszystkie strony. Wszystko jednak było bezskutecznie. Laennec uciec zdołał. Młoda murzynka, którą błagał o schronienie, ocaliła go genialnym pomysłem. Zawinęła go w pęk łoziny, przeznaczonej na kosze, związała snop, który rzuciła przed drzwiami swej lepianki.

Nikomu nie przyszło do głowy szukać go w pęku łoziny. Na noc go rozwiązywała, a na dzień pakowała w snop na nowo. Po dwóch tygodniach okręt podniósł kotwicę, a policya portugalska zaniechała poszukiwań. Miała bowiem bez tego dużo do roboty — wysypiać się na słońcu na tamie portowej.

Laennec pozostawać nie mógł w Loandzie, gdzie konsul francuski aresztowałby go nie omieszkał, dowiedziawszy się o jego obecności. Wsiąść na statek obcy było niepodobna bez papierów i w tak mało uczęszczanym porcie; Francya była dlań zamknięta bezpowrotnie, bo jakkolwiek sierżant nie umarł z rany, to jednak podwójny występek, którego był ofiarą, nie pozostawiał przestępcy najmniejszej nadziei przebaczenia.

Młoda murzynka, której zawdzięczał ocalenie swoje, była rodem z nad brzegów górnego Congo. Przywiązała się do niego i oświadczyła mu, że go zaprowadzi do swego plemienia, gdzie mu dobre zapewniała przyjęcie. Jak wszyscy marynarze, cały swój niewielki majątek miał on w pasie skórzanym, ukrytym pod bluzą. Oszczędny, jak Bretończyk, posiadał całkowitą dwuletnią gażę, którą zachował dla rodziny, kiedy wróci po długiej żegludze wokoło świata. Kupił więc za nią karabin doskonały, kilka funtów prochu, ołowiu, formę do kul. Kupił także kilka sztuk tkanin, które ofiarował M'Buanie, murzynce i ruszył z nią w świat.

Po czterdziestu dwóch dniach drogi, doszli do Matta-Zamby, na brzegach Congo, gdzie Gobbi panował. Król ten był wtedy na bakier z jednym z najpotężniejszych sąsiadów swoich, nazwiskiem Ogune. Laennec obiecał mu wyćwiczyć wojsko i uczynić go najpotężniejszym władcą w okolicy. Gobbi, który widział manewra wojsk europejskich w Loandzie i Bengueli, z ochotą przyjął usługi i postawił go na czele swej armii, złożonej z trzech tysięcy ludzi, której połowa uzbrojona była w strzelby, a druga połowa w proste piki. Rycerze ci mieli zwyczaj bić się gromadnie i bez żadnego ładu. Laennec podzielił ich na kompanie, a z uzbrojonych w broń palną utworzył korpus oddzielny. Nauczył ich maszerować w szeregu, formować w czworobok, lub rozwijać w kolumny, a szczególniej nie rzucać się naprzód i nie strzelać bez komendy oficerów.

Gobbi ze swej strony posiadał kodeks wojenny specyalny, który nie mało się przyczynił do szybkiego wykształcenia armii. Nieposłusznym ucinał głowy. Była to jedyna prawie kara, którą wymierzał, jak już widzieliśmy, u wszystkich swoich poddanych.

W trzy miesiące po przybyciu Laenneka, Gobbi posiadał najlepsze wojsko w całem Congo, a pałając żądzą spróbowania go, wypowiedział wojnę Ogunemu, który w dwójnasób mógł więcej wystawić żołnierzy. Zwycięstwo odniósł zupełne i dostąpił chwały zabicia wroga własną ręką. Nadmieniać nie trzeba, że za przykładem europejskich swych kolegów, przyłączył niebawem dzielnice zwyciężonego do swoich.

Podczas bitwy, Laennec nie oszczędzał się z niesłychaną odwagą. Kule i strzały świstały koło niego, nie obchodząc go wcale, a jakkolwiek był wciąż na czele bijących się, wyszedł z boju cało, nie otrzymawszy najmniejszej rany. Niebawem rozeszło się mniemanie, że był nietykalnym i że, jak mówił Gobbi, posiadał gri-gri przeciw śmierci. Dalekim był od zbijania tej wiary, która czyniła go bardziej bezpiecznym, niż król i zapewniała mu zupełną swobodę postępowania. W istocie, oświadczył on niebawem Gobbiemu, że bronić go będzie od wszelkiego napadu nieprzyjaciół, ale że niechaj nie liczy na niego w wyprawach po niewolników, jakie miał zwyczaj robić corocznie, dla wymiany ich z Portugalczykami na broń, proch i tafię.

Zabobonny, jak ostatni z poddanych, Gobbi uwierzył w potęgę gri-gri Europejczyka, chociaż żadnej nie przywiązywał wiary do magicznej wiary gangasów swoich (zbyt często widział ich kuglarstwa) i pomimo złego humoru, w jaki zapowiedzenie Europejczyka go wprawiło, nie śmiał sprzeciwiać się temu, którego wszyscy odtąd nazywali nie inaczej, jak M o m t u - S a m b u, człowiek nietykalny.

Dzięki tej wierze, Laennec mógł żyć całkowicie wedle woli swojej, dzieląc czas między polowanie a wycieczki w głąb kraju, które odbywał dla rozrywki i stłumienia smutnych wspomnień, bo pojęcia nie miał o celu naukowym, jakiego mógłby dokonać.

Stawił się punktualnie na schadzkę, jaką przyobiecał więźniom. Opowiedziawszy przygody swoje, wysłuchał ich opowiadania i poprzysiągł, że uchroni ich od losu zgotowanego przez Gobbiego.

W niecierpliwości swojej Barthet i Guillois chcieli uciekać tej jeszcze nocy, ale Laennec przekonał ich, że bądź-co-bądź, wypada czekać jeszcze czas niejaki.

(C. d. n.)

Rozstrzelanie polskiego oficera.



Stara to i wielokrotnie udowodniona prawda, że bolszewicy pastwią się nad jeńcami a nawet ich rozstrzeliwują. Rycina nasza przedstawia egzekucyę na oficerze polskim, który usiłował zbiedz z niewoli krwiożerczych władców dzisiejszej Rosyi.

Wróćmy — w objęcia natury.

Para bucików kosztuje dziś do 2000 koron. Na zbytek taki może sobie pozwolić chyba paskarz lub łapownik, to też w sferach zbiedzonej inteligencyi wyłania się propaganda, by zrzec się tego zbytku i chodzić po ulicach boso. Wtedy to będziemy mogli odróżnić paskarza po nowem jego obuwiu. Precz więc, powiadają, z tem zbytecznem okryciem, które ma być podobno nawet niezdrowe, a bardzo często sprawia nagniotki. Niech żyją więc sandały, któremi możemy na bruku ulicznym wygrywać wesołe marsze, gdy w duszy szarpie nas smutek i rozpacz. Oszczędzimy sobie wydatków na buciki, sznurowadła, pastę, naprawę. Całe narody nosiły sandały, co nie przeszkodziło im do potęgi światowej — np. Rzymianie. Dlaczegóż Krakowianie nie mieliby iść w ślad Rzymian. A więc balet bosonogi — a la Duncan — i sandały na nogi, a może napęcznieją przecie suchotnicze nasze kiesy...

Dlaczegóż jednak mielibyśmy utknąć na tym jednym martwym punkcie? Kto chce dziś dojść do czegoś — musi być radykalny. Weźmy się więc do drugiej kończyny naszej ziemskiej powłoki, przyjrzyjmy się kapeluszowi. Kapelusz kosztuje dziś — majątek, a właściwie pocóż nam potrzebny? Jeśli gorąco, uwalniamy zeń głowę, gdy pada deszcz chowamy go do kieszeni, aby nie zmókł. Jesteśmy niewolnikami kapelusza, bo przezeń gdy jest chmurno, dźwigamy w ręku parasol. Kapelusz jest urojeniem. Turcy noszą fez, Indyanie tylko parę orlich piór i czują się w tem dobrze. W teatrze trzeba zań garderobę płacić, w wagonie zamienia się go na czapkę. A przecie natura sama błogosławiła sterczący nasz wierzchołek obfitością włosów. Nosimy więc kapelusz — dlatego, że inni go noszą. A proszę — ile tylko kosztuje nas teraz choćby jeden ukłon kapeluszem. Może chyba łysi zademonstrowaliby przeciw temu obnażeniu głowy, lecz na pociechę niechaj im służy, że nawet Juliusz Cezar ten błąd swej piękności uzupełniał wieńcem laurowym. Wspaniałe rozwiązanie problemu. Kto łysy — niech nosi na głowie wianuszek z fiołków, lilij... niezapominajek, bratków... Ale precz z kosztownym kapeluszem!

Najbliższym teraz punktem — kołnierzyk. Kołnierzyk — kosztuje majątek, a cóż nam zato daje? Ściska tak męską gardziel, że jej, aż braknie tchu i krwawe znaczy pręgi na szyi. W zimie nie chroni nas przed zimnem, w lecie poprostu zatrzymuje oddech. Nasi przodkowie nie znali kołnierzyków, dopiero nasza kultura głupoty wymyśliła ten śmieszny, niepotrzebny wynalazek. Rzućmy go do rupieci!

A teraz krawatka. Wiem, że surowo spojrzy na mnie może niejeden z panów świata... To świętość nietykalna! A jednak ileż kłopotu sprawił już ten zbyteczny skrawek szmatki! Jak wszystkie niepotrzebne indywidua jest często bezczelna i uparta i nigdy nie da się tak zawiązać, jak pragnie właściciel. Jak prawdziwy dorobkiewicz, próbuje wzbić się nad kołnierzyk, lub też melancholijnie spuszcza nos na kwintę. Możesz młodzieńcze dobierać kolor jak chcesz, a bogdanka zapyta cię wreszcie: „Skąd wziąłeś tę wstrętną krawatkę? A do tego jaki ceremoniał. Raz węzeł, raz motylek, to znowu w formie kokardy. A nadto jeśli chciałbyś się w nie teraz zaopatrzyć — musiałbyś wydać tysiączki na to nic — któżby się dał więc tyranizować przesądami mody? Precz z krawatką!

Albo kamizelka! Już i tak wypowiedziano jej wojnę. Chcą ją zastąpić paskiem. To chyba dowód, że można się bez niej obyć. Dwa kawałki materyi związane kawałkiem podszewki w kieszonce mieści zaledwo zegarek i scyzoryk. I za to płacić kilkaset koron? Nasz narodowy majątek wzmoże się znacznie, jeśli wyklniemy ten śmieszny zbytek.

Surdut już więcej znajdzie obrońców. Bo przecie jest w nim kieszeń na portfel. Po co? Porządny człowiek — nie paskarz ma i tak próżny portfel, chustkę zaś do nosa można gdzieindziej wetknąć. A przy pracy surdut nam chyba przeszkadza. Nie wytrzymuje też twierdzenia, że chroni nas przed zimnem. Bo jeśli chłodno trzeba brać zarzutkę. Samo zaś tylko przenicowanie surduta kosztuje dziś majątek, nie wspominając już o sprawieniu nowego. Odzwyczajmy się więc od surduta!

A teraz zbliżam się do najbardziej drastycznej części garderoby. Każdy je zna i nosi; nie można w porządnem towarzystwie jawić się bez spodni. Lecz nie ma nic bez ale, a więc jest i ale pantalonowe. Często żartują z nas: ona, t. j. żona, nosi w domu spodnie. Czyż to nie impertynencya? A przytem, przyznam się, nie mogę w spodniach odkryć ni odrobiny eleganckiej... Po krótkiem już używaniu błyszczą się wyzywająco, a na dole mają pociąg do strzępienia się w frendzle. Kolana łatwo się wycierają. Nawet kieszenie są nieużyteczne, bo trzymać w nich ręce należy do najgorszego tonu, drobnych również nie mamy teraz wcale. Nadto ze dwa razy do roku domagają się szelek — co stanowi ze 180 K. Miesięcznie więc 15-tokoronowy wydatek. Do takiego przeżytku! — Przedśredniowiecze nie znało wcale spodni — po cóż więc ich dzisiaj?

Byłby więc już ładny program w komplecie. Uporaliśmy się zatem z grubsza. Nie róbmy więc też historyi i z naszą sztuczną cywilizacyą. Zbliżmy się do Diogenesa, który powiedział: ten najbogatszy, kto najmniej potrzebuje i rzucił nawet kubek, by ręką pić wodę.

Przy istniejącej obecnie drożyźnie mieszkaniowej i tak będziemy wnet mieszkać w beczkach, przy braku zaś węgli, jeśli nas nawiedzi gość, poprosimy go uprzejmie: „Obywatelu, ustąp się ze słońca“. Nie potrzebujemy jednak sięgać po wzory aż do mędrców greckich. Są miliony współczesnych, którzy w kwestyi ubrania nie cierpią, gdyż nie reagują na nią wcale. Negrowie afrykańscy chodzą obnażeni, tylko z opaską przez biodra. Trudność tylko w tem, że muszą ciało obwieszać różnemi drobiazgami, bo nie mają kieszeni. Dobrze im jednak z tem, nie mają nagniotków, nie muszą próbować u krawców, przyszywać guzików, czyścić ubrania szczotką. Wprawdzie twierdzimy, że wyglądają bardzo „po rajsku“, ale i my teraz jesteśmy goli jak tureccy święci. Wszystko zależy od przyzwyczajenia. Jeśli przez dwa lata będziemy chodzić w spodniach kąpielowych, dziwić się będziemy, po co nam było ongiś szaf na suknie i innych niepotrzebnych rzeczy. A co do kwestyi — zimna — to wojna wytrenowała nas pod tym względem dosadnie. Moda kobieca — to znów osobny rozdział — i do niej jeszcze wrócę. A więc wracajmy do natury! **Naturalista.**

* * *
*

Gazy trujące, tanki, dynamit

na usłudze życia pokojowego.

Z materyałów wybuchowych — sztuczny nawóz, z tanków — omnibusy górskie, z gazów trujących — środek na pchły i pluskwy — jak nauka stara się odkupić swe grzechy wojenne.

Podczas wojny ostatniej do pracy „dla zwycięstwa“ zaprzężono też i sztukę. Uczeni w laboratoryach i gabinetach całego świata ślęczeli nad wynalazkami, które ułatwić miały walczącym stronom wzajemne mordowanie się, udoskonalić środki zniszczenia przeciwnika, zaopatrzyć go w najbardziej śmiercionośną broń. Trujące gazy, materyały wybuchowe o nadzwyczajnej sile, tanki, działa dalekonośne — wszystko to są owoce tej pracy, ludzi nauki.

Lecz oto wojna się kończy i myśl ludzka pracuje już nad zastosowaniem dla życia pokojowego tych wszystkich wynalazków wojennych.

W chwili zakończenia wojny wszystkie państwa wojujące posiadały ogromne zapasy wszelakich materyałów wybuchowych, których Francya np. wyprodukowała w ciągu ostatniego roku wojny przeszło 240 milionów. Nie trzeba chyba wyjaśnieć, ile kłopotu sprawia ochrona tych zapasów i jakie niebezpieczeństwo przedstawiają one dla ludności stałą groźbą wybuchu.

Lecz z pomocą pośpieszyła nauka i dzisiaj wynaleziono już sposób (sposób bardzo prosty i nieskomplikowany) zapomocą którego można w krótkim czasie z niszczycielskiego materyału wybuchowego zrobić doskonały... sztuczny nawóz.

Nad udoskonaleniem gazów trujących trudzono się w pocie czoła i osiągnięto bardzo znaczne rezultaty. Dzisiaj gazy trujące (w proporcyach nieszkodliwych dla życia ludzkiego) używa się... dla niszczenia szczurów i insektów. Zrobione dotychczas doświadczenia dały doskonałe wyniki. Dość jest 4 gr. jakiegoś chloropicrineu na metr kubiczny, żeby zniszczyć w pokoju wszelkie pchły i pluskwy.

Maski gazowe zapomocą niewielkiego ulepszenia oddają ogromne usługi w szpitalach jako ochrona przed mikrobami.

Olbrzymie aeroplany już zaprzęgły się do pracy pokojowej, podtrzymując regularną komunikacyę pocztową i handlową.

W Ameryce organizuje się wyprawa hydroplanów, które użyte zostaną do polowań na wieloryby.

Tanki — słynne, zabójcze tanki, które taką decydującą rolę odegrały w tej wojnie są doskonałym środkiem lokomocyi w górach, z łatwością wożąc pasażerów po najbardziej stromych pochyłościach.

Nauka spieszy się zmazać swe grzechy wojenne. Jeszcze trochę a zaczniemy perfumować swe mieszkania gazami trującemi, dynamit używać jako przysypkę dla dzieci, a z dział dalekonośnych zabijać tak dokuczliwe czasami pchły i pluskwy.

A gdy wybuchnie nowa wojna... no, — ale twierdza przecież naiwni, że więcej wojen nie będzie.

Ostatnia przysługa.



Ostatnią istotnie przysługę oddała zmarłemu inżynierowi Holzmüllerowi rodzina jego w czasie bezrobocia grabarzy cmentarza centralnego w Berlinie. Ponieważ krewni nie mogli czekać na zakończenie strajku — zmuszeni do szybkiego odjazdu — prosili oni, by mogli sami wykopać grób dla nieboszczyka, co też uczynili, uzyskawszy od władz specyalne zezwolenie. Tak więc ojciec zmarłego stary profesor, jego brat lekarz i kilku przyjaciół chwyciło za łopaty na cmentarzu i złożyło na wieczny spoczynek drogie im szczątki.

Amerykanie niewolnikami swych żon.

Kobiety amerykańskie doczekały się ostrej, choć — przyznać trzeba — przeważnie zasłużonej krytyki.

Napadnięto na nie — jak pisze nowojorski korespondent londyńskiego „Timesa" — z trzech stron. Leon Tołstoj, wnuk wielkiego pisarza rosyjskiego, powiada, że stosunek ich do życia wogóle wytwarza ducha takiego, który właśnie doprowadził do wojny w Europie. Vicente Blasco Ibanez, znany pisarz hiszpański, po trzymiesięcznym pobycie w Ameryce, oświadcza, że zrobiły niewolników ze swych mężów, a p. Mithel Palmer, prokurator jeneralny Stanów Zjednoczonych, naraził na szwank kandydaturę swą na prezydenta Stanów Zjednoczonych, wygłosiwszy licznym słuchaczkom z towarzystwa nowojorskiego odczyt wytykający bez ogródek marnotrawstwo Amerykanek. Pan Ibanez mówił mniejwięcej w te słowa do grona mężczyzn, zebranych w klubie uniwersyteckim w Filadelfii:

„Każdy Amerykanin jest tchórzem wobec kobiety, a stanowisko jego względem niej jest zupełnie podobne do stanu niewolnika murzyńskiego wStanach południowych przed nadejściem Abrahama Linkolna. Warunki, wśród których mężczyźni amerykańscy żyją i pracują, są prawie tesame, co w dniach przedhistorycznych, kiedy to mężczyźni byli wojownikami i myśliwcami, wychodzili na łowy na dziki lub inne zwierzęta, a kobiety ich zajmywały się kuchnią i dziećmi. Ta tylko różnica panuje i dzisiaj, że mężczyzna amerykański poluje obecnie na dolary, nie zaś na zwierzęta, a żona jego nie zajmuje się domem, lecz chodzi po sklepach i na poranki teatralne.

„Jeżeli Amerykanin jest biedny, to wraca wieczorem po ciężkim dniu polowania na dolary, staje się sam gospodarzem, gotuje sobie strawę i zmywa naczynia.

Chóralne protesty ze strony słuchaczów nie stropiły wcale p. Ibaneza, który mówił tak w dalszym ciągu:

„Pozwólcie, że jako Hiszpan, powiem coś wam, mężczyznom amerykańskim. Czego potrzeba waszemu krajowi, to drugiego oswobodziciela, a poza tem kobiety wasze są zmęczone zbytniemi hołdami. Obiadowałem niejednokrotnie z waszemi paniami w Paryżu. Wydawały na moją cześć obiady, na których ja byłem jedynym mężczyzną obecnym. Przy deserze mówiłem: Panie, nie ma tu nikogo, coby nas podsłuchał. Powiedzcie mi szczerze, czy się wam już nie znudziło to ciągłe kłanianie się i poniżanie przed wami mężczyzny amerykańskiego: ten ciągły, przesadny szacunek jego dla was? I słyszałem na te słowa odpowiedź szczerą: Tak, panie, już to nam obrzydło i chciałybyśmy czuć panowanie nad nami, choćby dla zmiany.

Pan Ibanez skończył tę śmiałą tyradę radząc mężczyznom amerykańskim, aby „od czasu do czasu traktowali nieco ostrzej swoje kobiety". Pan Mitchel Palmer okazał się nawet odważniejszym, niż rycerski powieściopisarz hiszpański. Rzuciwszy bowiem okiem na szereg eleganckich kobiet, które zebrały się, aby wysłuchać jego odczytu o bolszewiźmie i innych zagadnieniach na dobie, zauważył:

— Nie robicie, panie na mnie wrażenia osób, interesujących się specyalnie drożyzną życia.

— Ależ obchodzi nas to bardzo! — odezwały się głosy.

Prokurator generalny ciągnął dalej spokojnie. Niedawno wzięła mnie żona moja na herbatkę. Pewna pani, z którą żyjemy w przyjaźni, powitała mnie tam słowami: Jak się panu podoba mój nowy kapelusz? Wcale mi się nie podoba — odparłem. Doprawdy — rzekła na to — jest pan odważnym mężczyzną, aby coś podobnego powiedzieć kobiecie. Tak pani — odrzekłem — nie lubię patrzeć na nowy kapelusz, nie lubię nowych ubrań w czasach dzisiejszych. Moje ubranie jest stare. Znajduje się na

---

JERZY DOCQUOIS.

Pośrednik.

(Z francuskiego).

Młodego Feliksa Misaine spotkały równocześnie dwa rozczarowania.

Jest to młodzieniec lat około dwudziestu sześciu, wykształcony, oczytany, niebywale o wysokiej inteligencyi. Wszystko to razem wzięte nie przeszkodziło mu, że się zbłaźnił, jak ostatni głupiec. Powodem był brak decyzyi i chęć wyręczania się kim innym.

Feliks Misaine jednocześnie zakochał się i powziął ambitne plany. Nie byłoby to nic nadzwyczajnego, bo miłość chodzi często w parze z ambicyą, ale miłość Feliksa Misaine nie pozostawała w żadnym związku z jego ambitnemi myślami o karyerze. Przypadek jedynie skojarzył te dwie okoliczności, które w jednym i w drugim wypadku skończyły się niepożądanie dla niego.

Pewnego popołudnia wszedł do sklepu rękawicznika, gdzie obsłużyła go czarnooka Rózia, najpiękniejsza panna sklepowa w całej dzielnicy. Zakochał się w niej momentalnie i to tak mocno, że nie znalazł słów, aby jej wypowiedzieć swój zachwyt. Więc nic nie powiedział.

Przy wyjściu ze sklepu kupił dziennik, a chociaż myśl jego była zajęta słodkim przedmiotem miłości, wyczytał wiadomość, że wakująca teka ministra oświaty miała być w najbliższych dniach oddaną Bajaillacowi.

Ojciec Feliksa oddał niegdyś bardzo ważną przysługę przyszłemu ministrowi, to też młodzieniec mógł mieć nadzieję, że otrzyma posadę w ministerstwie.

Trzeba się było spieszyć, ale Misaine zajęty myślą o Rózi, poszedł do domu, wahając się, czy iść do Bajaillaca.

Leżał przeszło godzinę na sofie w saloniku i myślał, co dalej zrobić. Nie mógł się zdecydować, co pilniejsze: czy spotkanie z piękną Rózią w celu wyznania jej gorącej sympatyi, czy też wizyta u Bajaillaca, mogąca mu zapewnić doskonałą posadę. — W chwili, kiedy doszedł do wniosku, że w tak krótkim czasie nie zdecyduje się ani na jedno, ani na drugie, wszedł jego przyjaciel Norbert Gagomat, żywy, energiczny i zawsze zdecydowany na wszystko dzięki swemu szczęśliwemu temperamentowi.

Dowiedziawszy się o wahaniach przyjaciela, czynił mu wymówki z powodu braku decyzyi.

— Niema jeszcze szóstej godziny. Masz czas iść do Bajaillaca, zjeść spokojnie obiad, a następnie oczekiwać na twoją pannę przed sklepem, wtedy właśnie, gdy będzie wychodzić.

— Nie czuję się na siłach, aby iść do Bajaillaca. Pamiętając przysługę, oddaną mu przez mojego ojca, krępowałby się może, gdybym sam osobiście przyszedł z tą prośbą, uważałby ją może za natręctwo...

— Co ty pleciesz?

— Idź za mnie, Norbercie. Powiedz mu, czego oczekuję od niego. Będzie napewno wzruszonym tem postąpieniem, które mu oszczędzi w razie odmowy przykrości udzielenia wprost mnie samemu niemiłej wiadomości.

— Niech będzie! Idę do niego. — Zgodził się Gagomat.

*

Po upływie 10 minut był już u Bajaillaca, któremu z zapałem i zręcznością przedstawił sprawę Feliksa.

Powróciwszy szybko do przyjaciela, Gagomat opowiedział mu o uprzejmem przyjęciu, jakiego doznał ze strony przyszłego dostojnika.

— Zastanowi się nad tem dzisiaj

niem jeszcze przyszyta karteczka świadcząca, że noszę je od lat pięciu. A właśnie teraz panuje u nas prawdziwa orgia wydawania pieniędzy. Ludzie posiadają obecnie w bankach więcej gotówki, niż kiedykolwiek przedtem i zdają się być zdecydowani wydać te pieniądze. Kobiety w naszym kraju wydają 90 procent całej sumy pieniędzy, wydawanych wogóle tutaj. Czy wiecie o tem? Gdybyście wy, kobiety zechciały mniej kupować, to doprowadziłybyście szybko do obniżenia cen, tak ciężko obarczających biedną pannę sklepową i każdego innego pracownika.

Czy słowa te, rzucone przez kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych Amerykankom, nie dałyby się również zastosować do naszych pań?...

ANTONI CZECHOW.

Zbrodniczy czyn.

Przełożył Jan Sobota.

— Kto tu?

Żadnej odpowiedzi. Stróż nie widzi nic, lecz pośród wichru i szumu drzew słyszy wyraźnie, jak ktoś przed nim skrada się aleją. Noc marcowa okryła ziemię chmurami i mgłą, a stróżowi wydaje się, jakoby ziemia, niebo i on sam ze swojemi myślami, utworzyli wspólnie jakąś ogromną, nieprzeniknioną ciemność. Posuwać może się tylko omackiem.

— Kto tu? — pyta stróż znowu i zdaje mu się, że słyszy szept i przytłumiony śmiech. — Kto tam jest?

— Ja ojczulku... — odpowiada starczy głos.

— No dobrze, ale kto ty jesteś?

— Ja... przechodzień.

— Co za przechodzień? — woła stróż gniewnie, aby w ten sposób ukryć swój lęk. — Czort nosi cię chyba tutaj. Włóczysz się dyable nocą po cmentarzu!

— Czy tutaj cmentarz?

— A cóżby innego. Rozumie się, że cmentarz! Czyż nie widzisz?

— Ach, ach, ach... Maryo, Królowo Niebios! — słychać stękanie starego człowieka. — Nic nie widzę ojczulku, nic. Popatrz, jaka noc czarna, jaka czarna! Ciemno, choć oko wykol, co za ciemność! Ach, ach, ach...

— No, ale któż ty jesteś?

— Ja, pielgrzym ojczulku, wędrowiec.

— Dyabliby wzięli takich wędrowców nocnych... Tak, tak, to dopiero pielgrzymy! Pijaki... — mruczy stróż uspokojony odpowiedzią i stękaniami starca. — Grzech i obraza Boska. Cały dzień pije taka hołota, a nocą dyabeł ją wodzi. Ale zdawało mi się, że was tutaj więcej, dwóch, trzech.

— Jestem sam jeden tylko ojczulku, sam. Całkiem sam... Ach, ach, ach. O grzechy nasze.

Stróż przystępuje do nieznajomego i pyta:

— W jaki sposób znalazłeś się tutaj?

— Zbłądziłem moi kochani. Szedłem do młyna Mitriewa i zabłądziłem.

— Hola, a czyż tędy droga do młyna Mitriewa? Ty barani łbie! Aby dojść do młyna, zwrócić się potrzeba bardziej na lewo, wzdłuż miejskiego gościńca. Podpity, przeszło trzy wiorsty za daleko zaszedłeś. Pewien jestem, żeś w mieście zanadto głęboko zaglądał do kieliszka!

— Zgrzeszyłem ojczulku, zgrzeszyłem. W rzeczywistości tak było, nie chcę grzechu mego ukrywać. Ale jakże mam teraz iść dalej?

— Idź stąd prosto przed siebie, aż dojdziesz do nieogrodzonego placu, a stamtąd zwróć się zaraz na lewo i przejdź cmentarz cały, aż do bramy. Otwórz ją i idź z Bogiem. Uważaj tylko, żebyś nie wpadł do rowu. Tam za cmentarzem idź ciągle brzegiem pola, brzegiem pola, brzegiem pola, aż dosięgniesz wielkiego gościńca.

— Niech Bóg ci da zdrowia ojczulku. Matka, Królowa Niebios niech cię ma w Swej opiece i łakę na cię ześle. Ale możebyś zechciał odprowadzić mnie ojczulku, mój kochany. Bądź tak dobry i towarzysz mi do tej bramy.

— Alboż mam czas na to? Idź sobie sam!

---

wieczorem, a jutro zawiadomi mnie listownie o swej decyzyi.

— Więc nie odpowie wprost mnie?

— Widocznie uważa za odpowiednie dać odpowiedź temu, kto się podjął przedstawienia mu sprawy. Widzisz, że nie ustępuje ci pod względem delikatności w postępowaniu. A teraz chodź na obiad.

— Nie mam apetytu!

— Zjem obiad za ciebie i za siebie.

— Proszę cię bardzo. Gdybyś jednak chciał być w zupełności uprzejmym, tobyś mi oddał jeszcze jedną przysługę. Poszedłbyś oczekiwać tę śliczniotkę i przełamałbyś zamiast mnie, pierwsze lody, tak zwykle trudne do przełamania.

— Nie mogę niczego odmówić memu najlepszemu przyjacielowi!

Gagomat zjadł obiad dosłownie za dwóch, wypił butelkę czerwonego wina i pobiegł wykonać polecenie leniwego przyjaciela.

*

Znalazł się przed sklepem właśnie w chwili, kiedy wychodziła Rózia, którą mu Feliks jak najdokładniej opisał. Była to równie sympatyczna, jak piękna panienka. Z miłym uśmiechem wysłuchała wydelegowanego przez Feliksa posła.

— Wie pani, ten młody brunet, który kupił u pani dzisiaj po południu sześć par rękawiczek.

— Tak... miał taką smutną minę...

*

Przed godziną dziesiątą Gagomat był u Misaina, który na niego oczekiwał mocno zdenerwowany. Niestrudzony pośrednik powiedział mu:

— Zdaje się, że wszystko pójdzie dobrze. Mała ma przysłać jutro bilecik, czy zgadza się na schadzkę z tobą.

Misaine podskoczył z radości. Chciał uścisnąć swego posła.

— Podziękujesz jutro — powiedział skromnie Norbert.

Nazajutrz około godziny drugiej Gagomat zjawił się u przyjaciela z miną mocno zakłopotaną.

— Co się stało? — zawołał Feliks. — Czy mi przynosisz złe wiadomości?

— Nie mów mi o tem! — westchnął Norbert. — Wstrząsnęło mną to do głębi! Przeczytaj najprzód ten list.

Była to odpowiedź Bajaillac'a.

„Kochany panie Gagomat! Okazałeś się pan tak świetnym, tak wymownym adwokatem, że przyszło mi na myśl, że człowiek o takich zdolnościach byłby mi bardzo pożyteczny jako sekretarz przy ministerstwie. Byłem panu Misainowi winien już wdzięczność z powodu przysługi, którą mi oddał ojciec. Obecnie ten dług wdzięczności wzrasta, ponieważ mu jestem bardzo zobowiązany, że mi dał sposobność poznania i zaangażowania pana".

Cios niespodziewany! — powiedział Norbert — ale przeczytaj teraz bilecik małej!

Rózia pisała:

„Drogi Norbercie, rozważywszy to wszystko, doszłam do wniosku, że milszy mi jest poseł, aniżeli jego posłannictwo.

Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, będę oczekiwała tego wieczoru na pana".

*

Trudno odmalować zmieszanie i rozczarowanie biednego Misaina. — Nie mógł nawet na pociechę zwymyślać Norberta, który okazał się zupełnie lojalnym i wypełnił sumiennie obydwa polecenia.

Jedynie złośliwy los nadał ten niespodziewany obrót rzeczom.

Feliksowi pozostało jedynie doświadczenie i ze smutkiem powtarzał odtąd, że: „przez posły wilk nie tyje".

(mjm)

— Zlituj się, za to pomodlę się za ciebie. Nic nie widzę, ciemno, choć oko wykol, nie widzę nawet ręki własnej! Taka noc czarna, taka czarna!

— Nie mam czasu. Gdyby się w ten sposób każdego chciało rozpuszczać, to człowiek nie miałby spokoju z odprowadzaniem.

— Na Chrystusa zmiłuj się! Nic nie widzę i boję się iść sam cmentarzem. To straszne ojczulku, straszne, strasznie się boję kochany mój.

— Umiesz się naprzykrzyć — wzdycha stróż. — Dobrze więc, chodź!

Stróż i wędrowiec poczynają iść. Idą obok siebie, ramię przy ramieniu i milczą. Wilgotny, przenikliwy wiatr uderza ich wprost w twarze, a niewidoczne drzewa miotają na nich, szumiąc i skrzypiąc, wielkie krople wody... Alea jest pełną kałuż błota.

— Jednego tylko pojąć nie mogę — mówi stróż po dłuższem milczeniu — jakim sposobem mogłeś się tutaj dostać? Brama jest przecież zamknięta. Czyś przeskoczył płot, tak? Nie spodziewałbym się tego po takim, jak ty starcu.

— Nie wiem tego ojczulku, nie wiem! Sam tego nie wiem, jak się tutaj znalazłem. Dyabeł widocznie zrobił sobie zabawkę ze mnie. To kara Boża. Zaprawdę, sztuczka dyabelska, szatan odjął mi zmysły. Ale ty ojczulku, jesteś tu stróżem?

— Tak, jestem stróżem.

— Czy jesteś jedynym stróżem cmentarza?

Uderzenie wichru było tak silne, że obaj przez minutę stoją w miejscu. Stróż odpowiada, gdy przeczekał, aż wiatr ucichnie:

— Nas jest tu trzech, jeden leży teraz chory, a drugi znów śpi. My obaj zmieniamy się.

— Tak, tak braciszku, tak to. Co za wicher, co za wicher! Chyba go i biedni umarli słyszą! Skowyczy, jak dziki zwierz... Ach, ach, ach...

— Ale skądżeś nadszedł?

— Z daleka. Z Wołogdy jestem. Pielgrzymuję do miejsc świętych i modlę się za dobrych ludzi. Panie, ratuj nas i zlituj się nad nami!

Stróż zatrzymuje się na chwilę, by zapalić swą fajeczkę. Przysiada za plecyma wędrowca i zużywa kilka zapałek. Blask pierwszej oświeca na krótko drgającem światłem część alei z prawej strony, biały pomnik z aniołem i ciemny krzyż; druga zapałka, która płonie chwilę, jak błyskawica przemija, oświetliwszy po lewej stronie część kraty; trzecia wywołuje z ciemności po prawej i lewej biały pomnik, ciemny krzyż i kratę, która otacza grób jakiegoś dziecka.

— Śpią kochani zmarli, serdeczni! — mruczy wędrowiec, ciężko wzdychając. — Śpią bogaci i biedni, mądrzy i głupi, dobrzy i źli. Wszyscy są teraz sobie równi. I spać będą, aż ich powołają trąby na sąd ostateczny. Niech Bóg im da Królestwo Niebieskie i niech odpoczywają w pokoju.

— Teraz chodzimy tędy, lecz przyjdzie czas, że sami tutaj spoczniemy — mówi stróż.

— Tak to, tak. Wszyscy będziemy tu spoczywali. Niema takiego człowieka, któryby nie musiał umrzeć. Ach, ach, ach... Czyny nasze złe, myśli podstępne! O grzechy, grzechy! O moja przeklęta, potępiona dusza, moje grzeszne ciało! Rozgniewałem Pana i nie znajdę przebaczenia ni w tem, ni w przyszłem życiu. W grzechu pogrążonym, jakoby robak w ziemi!

— Tak, ale umrzeć trzeba.

— To właśnie, że umrzeć trzeba.

— Pielgrzymowi łatwiej umrzeć, aniżeli takiemu, jak ja — mówi stróż.

— I pielgrzymi bywają różni. Są pielgrzymi prawdziwi, Bogu mili, którzy myślą o zbawieniu swej duszy i są również tacy, którzy po to tylko nocą po cmentarzach błądzą, aby dyabłu radość sprawić. Tak! Gdyby któremu z takich pielgrzymów przyszła nagle ochota, to mógłby ci siekierą zadać taki cios w głowę, żebyś zaraz wyzionął ducha.

— Po co mówisz takie rzeczy?

— Tak tylko... A ot, jak mi się zdaje, tutaj już jest brama. Rzeczywiście, że jest. Otwórz ją, mój kochany!

Stróż maca bramę i otwiera, wyprowadza wędrowca za rękę i mówi:

— A ot i koniec cmentarza. Teraz idź ciągle brzegiem pola, brzegiem pola, aż dojdziesz do wielkiego gościńca. Ale tuż zaraz jest rów przydrożny, nie wpadnij w niego... Skoro znajdziesz się na gościńcu, zwróć się na prawo i idź tak, aż do młyna...

— Ach, ach, ach... — stęka wędrowiec, pomilczawszy przez chwilę — nie pójdę już do młyna Mitriewa... po jakiego dyabła tam miałbym iść? Nie mam przyczyny. Raczej tutaj, przy tobie zostanę, przyjacielu...

— Po co będziesz tu zostawał?

— Ot tak... W twojem towarzystwie przyjemniej...

— Toś sobie ładnie zakpił ze mnie! Jesteś wprawdzie pielgrzymem, ale jak widzę, lubisz żartować...

— Tak jest, lubię! — mówi wędrowiec, śmiejąc się ochrypłe.

— Ach, mój kochany, mój kochany! Długo o mnie, pielgrzymie, będziesz pamiętał!

— Dlaczego mam ciebie długo pamiętać?

— Tak sobie... Przecież cię tak zgrabnie oszukałem... Czyż ja pielgrzym? Nie jestem pielgrzymem!...

— A więc kto ty taki?

— Nieboszczyk... Co dopiero wstałem z trumny... Czy przypominasz sobie ślusarza Gubarewa, który powiesił się w karnawale? Jestem tym samym Gubarewym...

— Kłam zdrów!

Stróż nie wierzy mu, jednak ogarnia go nagle ciężka i okropna trwoga, opuszcza swe miejsce i zaczyna obmacywać bramę...

— Poczekaj no, gdzie ci się spieszy? — mówi wędrowiec i chwyta go za rękę. Ach, ach... patrzcie no się, co to za jeden! Chcesz mnie tu samego zostawić?

— Puszczaj! — krzyczy stróż, starając się uwolnić.

— Stój cicho! Gdy ci rozkazuję stać, to masz stać... Nie staraj się uwolnić, przeklęty psie! Jeśli chcesz zachować życie, w takim razie stój cicho i milcz, tak długo, jak długo tego zażądam. Nie mam ochoty rozlewać krwi, gdyż w przeciwnym razie, już dawno nie żyłbyś chamie!... Stój spokojnie!...

Nogi pod stróżem uginają się. W trwodze zamyka oczy i drżąc na całem ciele, przyciska się do płotu. Chętnie krzyczałby, lecz wie, że krzyk jego nie dosięgnie domu... Obok niego stoi wędrowiec i trzyma go za rękę... Jakich trzy minuty przemija w milczeniu.

— Jeden leży chory, drugi śpi, trzeci zaś dotrzymuje towarzystwa wędrowcy — mruczy pielgrzym. — To dzielni stróże, zasługują na nagrodę! Nie bracie, złodzieje byli zawsze mądrzejsi, aniżeli stróże! Stój, stój, nie ruszaj się! — Mija w milczeniu piętnaście minut. Nagle wiatr przynosi odgłos piszczałki.

— Tak, teraz idź! — mówi wędrowiec, opuszczając rękę. — Idź i dziękuj Bogu, że żyjesz...

Wędrowiec świszczy również, odbiega od bramy i słychać, jak przeskakuje rów. Przeczuwając coś złego i drżąc z trwogi, stróż niezdecydowany otwiera bramę i pędzi z powrotem, zamknąwszy oczy. Na skręcie drogi, około wielkiej alei słyszy czyjeś szybkie kroki i ktoś pyta go przytłumionym głosem:

— Czy to ty Tymofiej? Ale gdzie się podziewa Mitjka?

Gdy biegiem przebył wielką aleję, spostrzega w ciemności mały, smutny ogienek. Im bardziej zbliża się ku niemu, tem bardziej staje się nieswój, tem większy odczuwa niepokój.

— Zdaje mi się, że świeci się w kościele — myśli. — Jakże to możliwe? Ratuj, zlituj się, Królowo Niebieska! Tak jest, tak.

Minutę stoi stróż u rozbitego okna i ze zgrozą spogląda w stronę ołtarza... Mała świeczka woskowa, którą złodzieje zapomnieli zgasić, błyska pod wpływem wiatru, wpadającego przez okno i rzuca posępne, czerwone światło na leżące wokoło szaty kościelne, przewróconą małą szafkę i na niezliczone ślady stóp koło i na ołtarzu. Mija jeszcze chwila i oto wicher niesie ze sobą ponad cmentarzem szybkie, nieregularne dźwięki dzwonu, bijącego na trwogę.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

13 (Ciąg dalszy).

— Jakto! oddalasz się pan? — zawołała Renee,— nie mogąc ukryć wzruszenia na tę niespodzianą, a przykrą wiadomość.

— Tak, niestety! pani, — odpowie Villefort, — muszę.

— I gdziesz się udajesz? — rzecze markiza.

— To już jest tajemnicą urzędu, daruj pani. Jeśliby kto z państwa miał jakie zlecenie do Paryża, proszę powiedzieć; jeden z moich przyjaciół dziś wieczór właśnie wyjeżdża i chętnie się podejmie każdego.

Goście spojrzeli po sobie.

— Chciałeś ze mną mówić panie Villefort, — rzekł markiz.

— Tak jest, przejdźmy do pańskiego gabinetu.

Markiz wziął Villeforta pod rękę i wyszli razem.

— Cóż tedy, — zapytał markiz, wchodząc do gabinetu, — cóż się tam dzieje? mówże.

— Rzeczy nader ważne, jak sądzę, które zmuszają mnie wyjechać natychmiast do Paryża. Teraz panie markizie daruj niegrzeczności zapytania: czy masz jakie papiery krajowe?

— Cały mój majątek w papierach, sześć do siedmiu kroć sto tysięcy blizko.

— A więc sprzedaj je, bo stracisz wszystko.

— Gdzież chcesz żebym je sprzedał, tu?

— A masz kogo, aby to zrobić potrafił?

— Mam.

— Nie traćmy ani chwili czasu, być może, że drugi raz jużbym zapóźno przybył.

— Tam do kata, — rzekł markiz, — nie traćmy więc czasu.

— Siadaj pan przy stole, napisz list do swego ajenta giełdowego z poleceniem sprzedania wszystkiego za jaką bądź cenę.

— Teraz więc gdy mam ten list, — rzecz Villefort składając go starannie do portfelu, — potrzebuję jeszcze drugiego.

— Do kogo?

— Do króla.

— Do króla?

— Tak jest.

— Ależ ja nie mam śmiałości pisać tak do J. K. Mości.

— Ja też nie wymagam tego od pana, ale racz wyjednać mi od pana de Servieux; potrzebuję takiego listu, zapomocą którego mógłbym dostać się do króla, nie przechodząc zwykłych formalności proszenia o audyencyę, coby mi tylko zbyt drogi czas zabrało napróżno.

— Czy nie dosyć na to pieczętarza królewskiego, który ma wstęp zawsze do Tuileries i za pośrednictwem którego, w dzień czy w nocy możesz widzieć się z królem.

— Tak, zapewne, ale jabym nie chciał dzielić z kim bądź zasługi udzielenia wiadomości, z którą przybywam; czy rozumie mię pan markiz? Pieczętarz postawi mnie naturalnie w drugim rzędzie przychylnych i wiernych i zbierze wszystkie korzyści, jakiebym miał z tej podróży. Powiem ci tedy panie markizie, że karyera moja zostanie zapewnioną, jeśli ja pierwszy przybędę do Tuileries, wyświadczę bowiem przysługę królowi, która mu nigdy nie pozwoli o mnie zapomnieć.

— W takim razie, mój drogi, zbieraj swoje papiery, zawołam pana Servieux i każę mu pisać list, który ci otworzy wszystkie drogi.

— Dobrze, nie trać pan przeto czasu, bo za kwadrans muszę już być na poczcie i jechać.

— Każ przecie zajechać przed swój dom.

— Będziesz pan dobrodziej łaskaw wytłumaczyć mnie przed panią markizą i panną de Saint-Meran, że tak nagle i w tym dniu wyjeżdżać muszę, nie bez głębokiego żalu.

— Zastaniesz je obie w moim gabinecie i możesz się sam z niemi pożegnać.

— Dziękuję po tysiąc razy, a proszę zająć się listem dla mnie.

Markiz zadzwonił, wszedł lokaj.

— Powiedz hrabiemu Servieux, że go tu czekam. A ty panie Villefort, bądź zdrów tymczasem, do zobaczenia.

— Idę natychmiast i wracam.

Villefort wyszedł i pobiegł coprędzej, we drzwiach dopiero namyślił się, gdyby prokuratora królewskiego ujrzano na ulicy w takim pośpiechu, całe miasto mogłoby popaść w przestrach i zamieszanie, przybrał więc zwykłą postawę i chód prawdziwie urzędowo poważny, gdy we drzwiach spostrzegł cień jakby białe widziadło oczekujące go niemo i bez ruchu. Była to piękna córka katalońska, która nie wiedząc co się z Edmundem stało, zmrokiem wymknęła się z swej osady, aby sama przekonać się mogła o przyczynie aresztowania kochanka. Za zbliżeniem się Villeforta, zdało się, że ten cień oderwał się od ściany i stanął na samem przejściu. Dantes mówił podprokuratorowi o swej narzeczonej. Mercedes więc nie potrzebowała wymieniać nazwiska przed Villefortem. Zdziwiła i zdumiała go piękność i godność postawy w tej kobiecie, że gdy go zapytała, co się z jej kochankiem stało, sądził się w tej chwili sam obwinionym, a ona sędzią.

— Człowiek, o którego pytasz mnie pani, jest wielkim winowajcą, — odrzekł surowo Villefort, — ja nic dla niego zrobić nie mogę.

Mercedes na te słowa rzewnem odpowiedziała łkaniem, i gdy Villefort chciał przejść, nanowo zastąpiła mu dziewica drogę.

— Gdzież więc jest? powiedzcie mi przynajmniej, abym wiedziała, czy jeszcze żyje, czy umarł dla mnie?

— Nie wiem, już on teraz nie pod moją władzą.

Ale ten wzrok przenikliwy i błagająca postawa tamowały mu drogę; odtrącił więc Mercedes i wyszedł zatrzasnąwszy drzwi za sobą, jakby chciał odegnać i oddalić tłoczącą się za nim boleść. Ale boleść odtrącić się nie da; jak śmiertelna blizna, o której Virgiliusz mówi, przylega do zranionego człeka. Villefort wyszedł drzwi zamknął; przyszedłszy do domu, zaledwie mógł ustać na nogach od drżenia; westchnienia jak jęki zdawały się z piersi wydobywać — i rzucił się na krzesło.

Pierwszy raz w tem sercu zrodziło się nasienie śmiertelnego wrzodu; człowiek, którego dumie swojej poświęcał ten niewinny, co miał za winnego jego ojca ponieść karę, stanął mu przed oczy z obliczem bladem i groźnem, jak widmo, jak sumienie niedające się uśpić. Rana, którą Villefort odebrał, nie mogła się zabliźnić, a jeśli się zaciągnęła, to potem jeszcze krwawiej i boleśniej się rozjątrzała znowu. Gdyby w tej chwili łagodny głos Renee zabrzmiał w jego uchu prosząc go o przebaczenie, gdyby Mercedes piękna weszła teraz i rzekła: „Na imię Boga, który patrzy na nas i sądzi, wróć mi narzeczonego", niewątpliwie to czoło na pół zmarszczone podniosłoby się i rozjaśniło i te zlodowaciałe ręce wyciągnęłyby się, aby podpisać rozkaz uwolnienia Dantesa, bez względu na wszelkie jakieby stąd

wyniknąć mogło niebezpieczeństwo. Żaden jednak głos nie ozwał się w tem milczeniu i drzwi otworzyły się wtenczas, gdy wszedł lokaj Villeforta dać znać, że konie pocztowe już zaszły. Villefort powstał jak ten, co zwycięzko skończył wewnętrzną walkę, pobiegł do swego sekretarza, zabrał do kieszeni wszystko złoto jakie tylko było w szufladce, spojrzał jeszcze błędnym wzrokiem po pokoju, potarł czoło wymawiając jakieś niezrozumiałe wyrazy bez związku; w końcu, gdy uczuł, że mu służący włożył płaszcz na ramiona, wyszedł, wskoczył do powozu i rozkazał zajechać jeszcze na ulicę Grand Cours, do państwa de Saint-Meran.

A nieszczęśliwy Dantes już został skazany.

Stosownie do przyrzeczenia pana de Saint-Meran, zastał Villefort Markizę i Renee w gabineciku. Spostrzegłszy Renee zadrżał; bo mu się zdało, że go znowu błagać będzie o uwolnienie Dantesa. Ale niestety! dziewicę uwiadomiono tylko o tem, że Villefort zmuszony jest wyjechać. Kochała Villeforta, a on odjeżdżał w chwili, gdy miał zostać jej mężem; Villefort nie mógł oznaczyć, kiedy wróci, a Renee zamiast żałować Dantesa, oskarżała w nim człowieka, co przez występki swoje rozłączał ją z kochankiem.

A cóżby Mercedes powinna była powiedzieć! Mercedes biedna spotkała Ferdynanda na rogu ulicy La Loge, bo on jej na krok choć niewidzialny, nie odstępował; wróciła do osady Katalonów umierająca prawie, i w rozpaczy rzuciła się na łóżko. Przed tem łóżkiem upadł na kolana Ferdynand, ściskał zlodowaciałą rękę Mercedes, całował ją i oblewał gorącemi łzami, a dziewica ani uściśnień, ani pocałunków nie czuła. Tak przebyła noc całą, lampa zagasła, a ona nie spostrzegła ciemności jak pierwej nie widziała światła; nadszedł dzień, ona dnia nie dostrzegła. Boleść rzuciła na jej oczy zasłonę, przez którą Edmunda tylko swojego widziała.

— Ah, ty tu jesteś! — rzekła nakoniec zwracając się do Ferdynanda.

— Od wczoraj nie opuszczałem cię ani na chwilę,— odpowiedział Ferdynand z bolesnem westchnieniem.

Pan Morrel zaś nie uważał jeszcze sprawy tej za przegraną. Dowiedział się o skutku badań, że Dantes został uwięziony, biegał więc do wszystkich przyjaciół. Był u każdej z ważniejszych osób w Marsylii, co jakikolwiek wpływ mieć mogła; ale pogłoska już się rozeszła, że młodzieniec aresztowany został jako podejrzany ajent Bonapartystowski. Ponieważ zaś w tym czasie, najzuchwalsi i najśmielsi jako sen, marzenie niepodobne do ziszczenia uważali, aby Napoleon mógł kiedy na tron powrócić, wszędzie więc przyjmowano go oziębłe, lekliwie, lub wprost odmawiano mu wstawienia się; wracał tedy do domu w rozpaczy wyznając sam przed sobą, że położenie tak jest trudne, iż nikt mu zaradzić nie zdoła.

Caderousse zdawał się także bardzo niespokojny i udręczony. Nie poszedł on nigdzie, jak pan Morrel za Dantesem, nie starał się uzyskać coś dla niego, chociaż nieby nie był w stanie zrobić, ale zamknął się w swoim pokoiku z dwoma butelkami wina, chcąc strapienia swe utopić w napoju. Na jego jednak głowę, na ten stan, w jakim się znajdował, dwie butelki wina niedostateczne były do uśpienia odzywającego się głosu sumienia. Dość sobie tedy podchmielił, że po więcej wina wyjść nie mógł, ale za mało, aby to upojenie zatarło wszystkie wspomnienia, ktre jak widziadła w Hofmana powieściach, w strasznych postaciach krążyły koło niego i napastowały go przy świetle mdłem dopalającej się świecy i błyskach napoju. Danglars tylko ani czuł udręczeń, ani niespokojności. Danglars był wesoły, bo się zemścił na nieprzyjacielu, zapewnił sobie miejsce na okręcie, które już byłby stracił. Danglars należał do rzędu tych ludzi rachunkowych, co się rodzą z piórem za uszami i kałamarzem zamiast serca. Wszystko na świecie było dlań mnożeniem lub odejmowaniem; liczbę więcej cenił jak człowieka, gdy ta liczba dopełniała całości, którą człowiek miał zmniejszyć.

Danglars więc położył się o zwyczajnej godzinie i spał spokojnie.

Villefort otrzymawszy list rekomendacyjny od pana de Servieux do hrabiego Blacas, pożegnawszy Renee, ucałowawszy rękę matki i uścisnąwszy markiza, ruszył prostą drogą do Paryża.

Ojciec Dantesa umierał z boleści i niepokoju. Z Edmundem, wiemy co się stało.

Gabinecik w Tuileries.

Zostawmy Villeforta na drodze do Paryża, którą pędem błyskawicy przebywa, płacąc potrójny tryngeld, i wejdźmy, przeszedłszy kilka większych salonów do małego gabineciku w Tuileries, z oknem nie dużem, który tak dobrze znaliśmy jako ulubioną siedzibę Napoleona I., Ludwika XVIII, a dzisiaj króla Ludwika Filipa. Tamto w gabinecie siedząc przy orzechowym stoliku z Hartwell sprowadzonym, do którego okazywał szczególne upodobanie, jak to zwykle dostojne i znakomite nieraz czynią osoby, słuchał król Ludwik XVIII niedbale dosyć rozmowy pięćdziesięcioletniego człowieka; włos jego siwy, postać szlachetna i surowa — i notował na marginesie Horacyusza, wydania Gryphiusa, dość niepoprawnego, chociaż w wielkiej cenie, zręcznym spostrzeżeniom filozoficznym J. K. Mości przedstawiającego dość przedmiotu.

— Mówisz więc pan? — rzecze król.

— Że jestem bardzo niespokojny Najjaśniejszy Panie.

— Czy doprawdy! widziałeś tedy we śnie, siedm krów tłustych i siedm chudych?

— Nie, Najjaśniejszy Panie, boby to zapowiadało tylko seidm lat żyznych, a siedm głodu, za panowania zaś tak przewidującego króla, głodu lękać się nie możemy.

— Jakaż więc inna oczekuje nas plaga, mój panie Blacas?

— Najjaśniejszy panie, ja myślę... i mam wielkie prawo tak myśleć, że burza zbiera się od strony południa...

— No, to mój kochany hrabio, — odpowie Ludwik XVIII., — widzę, żeś źle zawiadomiony, bo ja wiem z zupełną pewnością, że tam jest najpiękniejsza pogoda.

Jakkolwiek Ludwik XVIII był człowiekiem znakomitych zdolności, lubił przecież żarciki lekkie.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł Blacas, — czyż dla wszelkiego bezpieczeństwa, nie należałoby, abyś Wasza Królewska Mość posłał do Langwedocyi, Prowancyi i Delfinatu ludzi pewnych, dla przekonania się o duchu tamtych trzech prowincyi?

— Canimus surdis, — odrzekł król, nie przestając notować na edycyi Horacyusza.

— Najjaśniejszy Panie, — odpowie dworak z uśmiechem, udając, że zrozumiał łacińskiego poetę;— Wasza Królewska Mość, być może, że masz zupełną słuszność, skoro liczysz na dobre usposobienie ducha Francyi, ale nie zbłądzilibyśmy, jak myślę, gdybyśmy się mieli na baczności przeciw wszystkim zamachom.

— Z czyjej strony?

— Ze strony Bonapartego, a przynajmniej jego stronników.

(C. d. n.).

HUMOR i SATYRA.

Najpopularniejsze przezwisko na świecie.

Najpopularniejszymi w Europie i na całym świecie w naszych czasach są bezwątpienia bolszewicy. Niema chyba nikogo, ktoby przynajmniej raz w życiu nie wymówił słowa „bolszewik". Słowo to stało się synonimem czegoś niepewnego, nie zupełnie polskiego, nieuczciwego, niezdrowego, śmiesznego, strasznego, wogóle czegoś, co nawet nie da się ująć w ostateczną słowną definicyę. Naprzykład gdy chce ktoś o kimś wyrazić się pogardliwie, lub z przekąsem, mówi: „A, ten bolszewik", albo „a tak, znam go, to ten bolszewik" i t. d.

Przyjaciel nawet do przyjaciela mówi gdy ten bierze już czwartego papierosa z jego papierośnicy: „Nie, doprawdy, to jest bezczelność, to ty naprawdę jesteś bolszewikiem".

Jak widzimy, słowo to wsiąkło w ogólną ludzką gwarę i potoczną rozmowę. Przychodzi naprzykład do kawiarni adwokat dr X. i pyta kelnerki: „Panno Zosiu, czy pani nie widziała tutaj mego dependenta?" — „Nie, panie mecenasie" — odpowiada panna Zosia. — „A to psiakrew bolszewik, szukam go od rana". Za chwilę gdy mecenas już odszedł, wchodzi do tejsamej kawiarni pan dependent dr Y. i pyta kelnerki: — „Panno Zosiu, czy pani nie widziała tutaj mego pryncypała adwokata dra X.?" — „W tej chwili wyszedł i szukał tutaj pana doktora". — „A to psiakrew bolszewik, szukam go od rana".

Najwięcej jednak bolszewików spotyka się w dziennikach. W jednym z najspokojniejszych dzienników obliczyłem raz na jednej szpalcie 1,350.000 bolszewików.

Niétylko osoby, ale całe narody i państwa sekują się i dokuczają nawzajem „bolszewikiem". I tak pomawiają o bolszewizm Czesi — Polaków, Polacy Czechów, Czesi Węgrów, Niemcy Polaków, Polacy Niemców, Polacy Ukraińców, Ukraińcy Polaków, Niemcy Francuzów, Francuzi Niemców itd. itd., wszyscy wyzywają się od bolszewików.

* * *

Nieporozumienie.

— Samochodem, którymi pan sprzedałeś, niepodobna robić 60 km. na godzinę, a mówiłeś pan, że z powodu tego dehikułu byłeś parę razy pociągany do odpowiedzialności...

— Tak, ale nie za zbytnią szybkość, tylko za zawadzenie na drodze...

Podwójnie przyjemnie.

— Słyszałem, że się zaręczyłeś, czy to małżeństwo z rozsądku, czy z miłości?

— Właściwie jedno i drugie. Narzeczoną ubóstwiam, a ojciec jej rozsądny, bo daje 100.000 koron.

*

Niańka: A mówiłeś już paciorek?

Jaś: Już.

Niańka: A prosiłeś na końcu o zdrowie dla mamy?

Jaś: Tak.

Niańka: I dla taty?

Jaś: Tak.

Niańka: I dla wszystkich?

Jaś: O nie, bo tatko nie miałby roboty.

*

Troskliwa wdowa.

— Wykopcie tylko grób dla mego męża daleko od grobu stolarza Wiórki!

— A to dlaczego?

— Bo on umarł na tyfus.

*

Do miski pierwszy.

— Jak się nazywasz, mój mały?

— A dyć, jak mój ojciec.

— A twój ojciec jak?

— A dyć jak ja.

— Ale jakże cię wołają naprzykład na obiad.

— Mnie do miski wołać nie trza, zawdy pierwszy jestem!

*

W szkole.

Nauczyciel: Powiedz mi, Sapalski, co powoduje wytwarzanie się rosy?

Uczeń: Wytwarzanie się rosy powoduje... powoduje... to powoduje, że ziemia, obracając się szybko około swej osi, bo... w ciągu dwudziestu czterech godzin, męczy się, panie psorze, i pot na nią występuje...

*

Miła teściowa.

Teściowa: Zamieszkam u was na zawsze, moje dzieci, a kiedy umrę, to mi zamkniesz oczy mój zięciu!

Zięć: Z przyjemnością, kochana teściowo!...

*

Jeszcze jedna różnica.

— ...Jaka jeszcze może być różnica między człowiekiem a zwierzęciem?

— ? ? ...

— Człowiek może się stać wielką św...., nie będąc przedtem prosięciem.

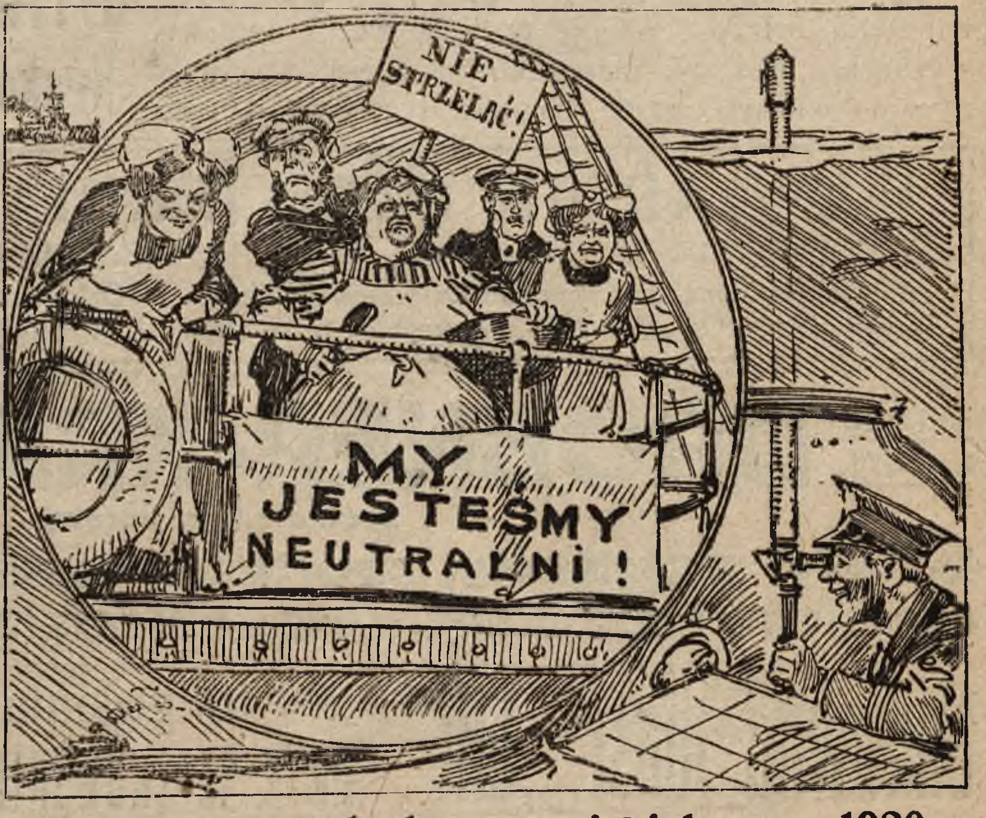
*

Nasze dzieci.

Zosia dopomina się po obiedzie o ser szwajcarski. Matka kraje kawałek sera na dwie części, z których jednę daje jej, a drugą młodszej córeczce. Zosia spoglądając łakomie na talerzyk siostrzyczki, zaczyna płakać.

— Czegóż ty chcesz jeszcze? — pyta matka.

— Ona ma więcej **dziur**, niż ja!



Niemcy na wodach europejskich w r. 1920.

Redaktor odpowiedzialny: M. J. Migo. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść".

Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie, ul. św. Tomasza 25.